ROK VI. LISTOPAD — 1930. Nr. 11.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW

MIESIĘCZNIK

TREŚĆ.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Moniuszki 3a

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo.

Pro publico bono.

W dniu 16 i 23 listopada mają się odbyć wybory do Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej. Wybory te stanowić będą wydarzenie niewątpliwie poważne i brzemienne w następstwa w życiu publicznym Polski.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że zarówno położenie zagraniczne, jak i wewnętrzne kraju jest bardzo poważne. Bierzemy pierwszą-lepszą z brzegu odezwę przedwyborczą i cytujemy następującą charakterystykę obecnej sytuacji: „w Niemczech zwyciężyli skrajni nacjonaliści, sięgający po nasz dostęp do morza", równocześnie „wysłannicy Moskwy zasilani złotem bolszewickim, korzystając z tragicznego położenia mas bezrobotnych, szerzą swe wywrotowe zasady", — „a na kresach wschodnich irredenta ukraińska, podsycana z Berlina, wznawia tradycje hajdamaczyzny... Ludność ugina się pod ciężarem nadmiernych i źle rozłożonych podatków. Rolnicy osiągają tak niskie ceny ze sprzedaży płodów rolniczych, że nie mogą utrzymać swoich gospodarstw. Mimo to chleb jest drogi. W miastach szerzy się bezrobocie. Kupcy i przedsiębiorcy likwidują i ograniczają swe interesy wobec powszechnego kryzysu gospodarczego. Inteligencja pracująca i robotnicy otrzymują płace, nie wy-

starczające na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb i cierpią nędzę. Tymczasem w Polsce pewne czynniki, miast szukać rozwiązania tych ciężkich zagadnień w drodze pokojowych reform, pchają kraj do nowych i tragicznych walk wewnętrznych. Ugrupowania „sanacyjne" szerzą terror fizyczny, służalstwo, pogardę dla prawa i dobrych obyczajów publicznych. W tym stanie rzeczy grupy opozycyjne lewicy mogą nie cofnąć się przed rozpaleniem w Polsce ognia rewolucji, kiedy stosuje się aresztowania i zbrojną ręką tłumi protesty — na ulicach miast naszych już krew się polała"...

Cytujemy, bo nieskonfiskowane, a tak trafnie oddające obecną sytuację.

Ale to jeszcze nie wszystko. Systematyczne używanie instytucyj i urządzeń publicznych państwa, które zgodnie ze swoim przeznaczeniem winny służyć wszystkim obywatelom — dla celów powiedzmy polityczno-partyjnych — jednego ugrupowania budzi ogólne rozgoryczenie i osłabia zaufanie ludności do agend i zarządów państwowych. Stosowane zaś metody zastraszenia i nacisku, mające zmusić ludność do głosowania na „sanację"— wywołują z jednej strony niechęć, a nawet nienawiść, a z drugiej strony w szerokich masach niewyrobionych jeszcze politycznie — zniechęcenie i odsunięcie się od wszelkich zagadnień publicznych, co może się odbić w formie absencji przy wyborach.

To odsuwanie się od spraw publicznych, oparte u jednych na obawie narażenia się sferom wpływowym u innych, na zniechęceniu i pesymizmie — jest bodaj najcięższym i najbardziej smutnym objawem obecnej sytuacji. Doświadczenie bowiem historji pokazuje, że naród pełen zapału i energji zdoła wybrnąć z najcięższej nawet sytuacji politycznej i gospodarczej, natomiast społeczeństwo przygniecione, jak kamieniem młyńskim, ciężarem bezwładu i zniechęcenia żadnych trudności nie przezwycięży.

Inteligencja katolicka musi docenić wagę tej sprawy i zrozumieć ciążące na niej obowiązki. Ojczyzna nasza jest w ciężkiej sytuacji i nie wolno żadnemu katolikowi odsunąć się od spraw publicznych i przyglądać się biernie dalszemu biegowi wydarzeń, nie wolno tego uczynić tymbardziej, że w grę wchodzą pierwszorzędne interesy religji i Kościoła Katolickiego. Bez względu na to, jaki wpływ będą miały zbliżające się wybory na

zmianę, czy likwidację obecnego regimu i czy będą miały—rezultat ich może poważnie zadecydować o losach konkordatu, ustawodawstwa małżeńskiego i religijnego wychowania młodzieży.

Wynika stąd, że pierwiastkowym obowiązkiem każdego katolika-obywatela jest wziąć udział w wyborach i innych do wzięcia udziału nakłaniać. Pamiętajmy, że stosunek inteligencji do wyborów wywrze wielki wpływ na masy i że za bierność ich my będziemy w znacznej mierze odpowiedzialni.

Jeżeli teraz zajmiemy się zagadnieniem, na jaką listę winien głosować uświadomiony i konsekwentny katolik, to używając negatywnej metody rozumowania, przedewszystkiem stwierdzić należy, że nie może głosować na Centrolew. Z rozlicznych przyczyn, a w pierwszym rzędzie dla tego, że na listach tych będą figurować nazwiska notorycznych wrogów Kościoła z ugrupowań programowo Kościół zwalczających, następnie, że idące w Centrolewie dwa stronnictwa: Piast, N. P. R. na podstawie dotychczasowej swojej działalności nie dają w ramach całego zespołu dostatecznej gwarancji obrony zasad katolickich, a wreszcie — że Centrolew odrzucił warunki postawione mu w swoim czasie przez Chrześcijańską Demokrację w sprawie poszanowania konkordatu, małżeństwa katolickiego i religijnego wychowania młodzieży, dając w ten sposób wyraźnie do zrozumienia opinji publicznej, że nie może się zobowiązywać do uwzględnienia żądań, które stanowią minimum z punktu widzenia katolickiego.

Idźmy dalej. Naszym zdaniem konsekwentnemu katolikowi trudno będzie głosować na „sanację". Nie dlatego, by zagrażała ona bezpośrednio ustawom ochraniającym religję i Kościół, wiemy, że tak nie jest. Nie ze względu na zasady przez nią reprezentowane w życiu publicznym, gdyż wiemy, że „sanacja", ściśle biorąc skonkretyzowanego programu nie posiada, zastępując go kultem dla osoby marszałka Piłsudskiego. Chodzi tu o co innego: o metody działania, o czyny, które charakteryzują działalność ludzi tego obozu i zastępują poniekąd ich program. Czyny te stoją w zasadniczym rozdźwięku z zasadami etyki i moralności chrześcijańskiej. I nie wolno nikomu powiedzieć, że czyny te generalizujemy, i winy poszczególnych jednostek przypisujemy całemu obozowi, gdyż wiadomo całej opinji, że występki te zachwaszczające od lat $4^1/_2$ życie polityczne Polski są nietylko przez kierowników obozu „sanacyjnego" to-

lerowane, lecz gloryfikowane i czynnie popierane, a sprawców ich spotykają nagrody, zamiast kar. Za dużo nieprawości nagromadziło się w jednym obozie politycznym. Można ubolewać za ks. Skargą nad „bezkarnością grzechów jawnych" przeciw Rzeczypospolitej.

Pozostają dwie listy, wysuwające oficjalnie hasła i zasady katolickie: Chrześcijańska Demokracja i Stronnictwo Narodowe.

Aczkolwiek reprezentują one dwa różne odłamy myśli, dwa obozy polityczno-społeczne, należy ubolewać, że w obecnym ciężkim przełomowym momencie nie połączyły się i nie wystąpiły z jedną listą. Dlaczego tak się stało, wyjaśniamy w innym miejscu.

Nie zamierzamy przekonywać czytelnika, na którą z tych dwóch list należy głosować. Jak już zaznaczyliśmy obydwie one wysuwają program, uwzględniający zasady katolickie i interesy Kościoła i żadnej z nich do wysunięcia tego programu nie możemy odmawiać prawa, choć prawa te nie są równe...

Stronnictwo Narodowe znajdowało się dawniej programowo pod wpływem zasad pozytywistycznych i wysuwało hasło „etyki narodowej", sprzeczne z nauką katolicką. Jednakże po potępieniu przez Kościół „L'Action Française", od r. 1928 program tego ruchu został zmieniony w dużej mierze w duchu zasad katolickich. Chrześcijańska Demokracja opiera od początku istnienia swoje zasady programowe na Encyklice Rerum Novarum i innych enuncjacjach Stolicy Apostolskiej.

Poważniejsze różnice między wyżej wymienionemi obozami zarysowywują się w dziedzinie społeczno-gospodarczej. Stronnictwo Narodowe hołduje zasadom liberalizmu ekonomicznego, nie uznając w praktyce potrzeby reform socjalnych, wysuwanych przez Chrześcijańską Demokrację w imię zasad katolicyzmu społecznego.

Stronnictwo Narodowe, jak dotychczas opiera się przeważnie na ziemiaństwie, przemyśle, stanie średnim i inteligencji, Chrześcijańska Demokracja apeluje do wszystkich warstw, jak dotychczas jednak organizuje w swoim ruchu masy robotnicze, inteligencję i stan średni, dążeniem jej jest zjednoczyć inteligenta i robotnika przy wspólnym warsztacie pracy społecznej.

Mamy więc dwa ugrupowania, którym nie można odmówić dążeń katolickich, ani też zarzucić czołowym działaczom tych ugrupowań notorycznych występków, stawiających poza nawias

ruchu katolickiego. Charakter jednego jest konserwatywny, drugiego demokratyczny. Niech więc każdy wyborca katolik, uświadomiwszy sobie, że świętym jego obowiązkiem jest pójść do urny wyborczej, wybierze jedną z tych list zależnie od swoich tendencyj, zamiłowań i upodobań, biorąc pod uwagę sytuację. oraz interesy religji i Kościoła potrzeby naszej Ojczyzny i to zarówno państwa, jak i całego społeczeństwa, a więc wszystkich jego warstw, zarówno posiadających, jak i pracujących fizycznie.

Naród nie jest abstrakcją, ani hasłem, lecz żywym organizmem, złożonym z warstw społecznych. Sytuacja warstw pracujących polskich: chłopów i robotników pod względem religijno-moralnym jest tego rodzaju, że niezbędną staje się natychmiastowa zorganizowana pomoc ze strony inteligencji polskiej. Dalszy brak tej pomocy może fatalnie odbić się na przyszłości narodu, zwłaszcza, że pierwsze lata niepodległości przeżywamy w tak ciężkiej sytuacji gospodarczej i politycznej.....

S.K-ski.

Akcja katolicka a robotnik przemysłowy.

Niema właściwie dziedziny, którejby nie należało objąć programem Akcji Katolickiej. Prasa, sztuka, scena, ekran, szkoła, nauka, organizacje przeróżne, ruch socjalny, sport, medycyna, ruch kobiecy i młodzieży, wojsko, polityka itd. itd. wszystko woła o wyraźny kierunek katolicki. A trudno osądzić, jaka z tych rozlicznych dziedzin najwięcej i w pierwszym rzędzie wymaga zainteresowania się nią Akcji katol., gdyż jak z jednej strony wszędzie są wyraźne braki, tak z drugiej nie możemy zaprzeczyć istnienia tam pewnych mniej lub więcej podatnych fundamentów pod potężny gmach Królestwa Chrystusowego.

Wybieramy dzisiaj jeden z tych tematów. Pragniemy mianowicie wykazać, co naszem zdaniem Akcja kat. dać powinna robotnikowi, w jakim kierunku iść powinna Akcja katolicka na polu kwestji robotniczej.

Niema już dzisiaj chyba człowieka, jako tako przynajmniej orjentującego się w sprawach publicznych, któryby nie zdawał sobie sprawy z potęgi ruchu robotniczego. Hasło,

rzucone lat temu 83 przez Marksa i Engelsa, rozlega się zawsze jeszcze potężnem echem, z dnia na dzień przybierając na mocy i sile. Przypuszczam, że się nie mylę, gdy powiem, że socjalizm to najżywszy i najsilniejszy ruch nietylko wczoraj, ale i dziś jeszcze, ruch, który wstrząsa całym światem. Nie pozostał on w ojczyźnie swej Europie, ale rozchodzi się gigantycznym krokiem po wszystkich kontynentach. Słowa marksowskiego „Manifestu": „Całe społeczeństwo rozdziela się coraz bardziej i wyraźniej na dwa wielkie sobie wrogie obozy, na dwie wielkie krańcowo sobie przeciwne klasy: burżuazję i proletarjat" — nietylko, że na wartości nic nie straciły, ale z dniem każdym zyskują na aktualności. Zwłaszcza, gdy zważymy, że proletarjuszem nie jest bynajmniej ten pierszy lepszy obdartus z ulicy, ale ten, który *myśli* po proletarjacku, ten, który, będąc nawet wybitnym inteligentem, dzieli poglądy idei proletarjatu w przeciwieństwie do burżuazji, a lepiej mówiąc, do liberalizmu. Ten rozłam postępuje naprzód mimo Kettelerów i Leonów, mimo szczerych wysiłków katolików, by nie dopuścić do zsocjalizowania mas. Co jest przyczyną tej stosunkowo nikłej skuteczności dotychczasowej działalności chrześcijańskiego ruchu społecznego, nie pora tutaj w to wchodzić. Wypada tylko stwierdzić wzrastający postęp socjalizmu.

Zwłaszcza po ostatniej wielkiej wojnie socjalizm ogromnie zyskał na sile, także liczebnej. O tem zdawano sobie np. dokładnie sprawę na konferencji chrześcijańsko-społecznej w Antwerpji w roku 1924. Jeden z uczestników, poseł do parlamentu niem. i przywódca robotników niem. J. Joos tak pisze m. in. w artykule umieszczonym w „Germanji" Nr. 308 z r. 1924: „Przed oczyma konferencji stanęła straszna rzeczywistość; rzeczywistość, która—jak się wyraził O. Rütten—domaga się nielitościwie tego jednego wyznania: że większość katolickich robotników przemysłowych jest dzisiaj stracona i stoi poza życiem katolickiem..." I ten proces odwracania się robotnika od Kościoła, to odchrześcijanizowanie mas robotniczych odbywa się wszędzie, we wszystkich krajach. Jedynie forma, sposób i tempo zmieniają się i dostosowują do warunków danego kraju czy środowiska.

Zatem troska o *duszę robotnika*, rzuconego na pastwę pogańskich haseł — to jedno z zadań Akcji Katolickiej. Ratować tę duszę dla Boga i dla Narodu, powstrzymywać dalszy postęp neopoganizmu — oto jeden z celów świętego hasła Piusa XI. A do zrealizowania tego celu zabierzmy się jaknajszybciej, jeszcze dziś, natychmiast, bo pamiętajmy o tem, że są okolice — nie mówię tu o Polsce tylko, ale w ogólności— gdzie świadome chrześcijaństwo wśród właściwych rzesz robotniczych, zwłaszcza w środowiskach fabrycznych, prawie że już wymarło.

Jeżeli chcemy znaleźć skutecznych sposobów walki o duszę robotnika, to musimy znać najprzód przyczyny jego odwracania się od Kościoła, wogóle od chrześcijaństwa. Tych przyczyn jest kilka. Wyliczymy niektóre: a więc przedewszystkiem pozbawienie robotnika rodzinnej gleby. Przewrót, jaki wprowadziła maszyna w pierwszej połowie zeszłego stulecia, wydziedziczył do dni naszych niezliczone tłumy pracowników w posiadanej ziemi, każąc im osiedlać się po miastach. Powstały osobne środowiska robotników przemysłowych. W dodatku robotnik, został pozbawiony własności prywatnej w postaci konkretnego pewnego majątku.

Zmienił się także system pracy robotnika. Dawniej bowiem pracując we własnym warsztacie lub u majstra wykonywał całą robotę, która dlań przedstawiała pewien niejednokrotnie bardzo wysoki urok. Z chwilą nastania maszyny zaś, robotnik, zmuszony do podziału pracy, nie może w niej widzieć dawniejszego uroku i powabu, bo stracił wszelką samodzielność. Stał się poprostu mechaniczną cząstką maszyny. I to jest drugą przyczyną odwracania się robotnika od chrześcijaństwa, tego robotnika, któremu już maszyna sto lat temu wyrwała duszę pracownika, czyniąc zeń, jak powiedzieliśmy, mechaniczną swoją cząstkę i pozbawiając go w ten sposób godności człowieka-pracownika.

Łącznie z mechanizowaniem robotnika idzie jego sproletaryzowanie i wystawienie go na byt niepewny. Robotnik stał się proletarjuszem w znaczeniu fundamentalnem (qui prolem habet, którego cały majątek to potomstwo; a nawet z tego „majątku" musiał w końcu zrezygnować wskutek braku dostatecznych środków na utrzymanie liczniejszej rodziny). Spec-

jalizacja zaś naraziła go na wypadek zwolnienia z pracy na śmierć głodową. Wreszcie stłaczanie mas, wychowujących się w ten sposób w poglądach materjalistycznych, dalszą stanowi przyczynę odwracania się robotnika od Kościoła.

Tych przyczyn jest daleko więcej. Ale już te, któreśmy wymienili, dają nam doskonały obraz o tem, jak głęboko tkwi korzeń zdechrystjanizacji rzesz robotniczych, jak daleko sięga spoganizowania tego geneza. A pamiętajmy o tem, że tu nie chodzi już tylko o proste jakieś uśpienie poczucia kościelnego i religijnego, bo to dałoby się z łatwością usunąć. Ale robotnik dzisiejszy rzucony w wir socjalizmu, obraca się w zupełnie nowym światopoglądzie, który niejednokrotnie nawet już nietylko neguje religję chrześcijańską, ale sam jest religją qui generis. Mówi się już nietylko o socjalizmie jako o światopoglądzie (pomijam socjalizm jako ruch społeczny) ale także słyszy się nieraz wyrażenie tego rodzaju: socjalizm a religja. Wprawdzie socjaliści sami twierdzą, że socjalizm jest tylko partją polityczną, partją zawodową względnie w szerszem pojęciu, poglądem społecznym (politische Partei, Gewerkschafts-partei, Gesellschafts-auffassung), a nie światopoglądem (Weltauffassung) a już wcale nie religją. Rozprawiał się o tem szeroko socjalista austrjacki Leuthner, który w styczniu 1928 roku wygłaszał w Wiedniu kilka wykładów na temat „Religion und Sozialdemokratie". Pomimo takich zapewnień ze strony samych socjalistów, stan faktyczny mówi nam wręcz coś przeciwnego. Stąd pierwszym i głównym zadaniem naszem na drodze przywrócenia Kościołowi robotnika fabrycznego jest usunąć tę przeszkodę fałszywego światopoglądu i zastąpić go innem, chrześcijańskiem, katolickiem patrzeniem na świat. Te dwie olbrzymie potęgi, dwa światopoglądy — katolicki i socjalistyczny — zażarty staczają ze sobą bój o duszę robotnika, przedewszystkiem robotnika fabrycznego. Obok owego wielkiego rozłamu społeczeństwa na dwa obozy wzgl. dwie zwalczające się klasy: burżuazję i proletarjat — jak to widział Marks w swoim „Manifeście" i czego i dzisiaj negować nie można, jak to już powyżej zaznaczyliśmy — trzeba podkreślić drugie dwa wielkie obozy dwu potężnych i możnych poglądów na świat. Powiadam „obok", gdyż i w t. zw. „burżuazji" nie wszystko jest chrześcijańskie, jak z drugiej strony i obóz

„proletarjatu” nie jest doszczętnie spoganizowany. Marksowska „burżuazja” bynajmniej bowiem nie może być uważana jako synonim chrześcijańskiego kierunku, jak „proletarjat” nie wyraża bynajmniej jakiejś kasty pogańskiej. Inaczej trzeba te rzeczy oceniać i zsegregować, patrząc na nie pod kątem widzenia ideowym, poglądowym, ściślej: światopoglądowym.

Co więc w tej toczącej się walce o duszę robotnika ma czynić Akcja katolicka? Wszak tyle katolicy skądinąd czynią i działają. Piszą, mówią, podawają programy i hasła, a nawet organizują. Owszem, pięknie! Ale czyż to starczy, jeżeli wprost widocznie z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień wzrasta siła liczebna socjalizmu? Cóż robią te śliczne i liczne nasze organizacje robotnicze, skupiające w swoim gronie kilka poczciwych dusz, którym nie chce się wyżej zajmować ruchem socjalnym — ale tak od strony praktycznej, albo nie mają ku temu sposobności. A w najlepszym razie są to tacy, którzy zamłodu tak silnie zrośli się z wiarą i z Kościołem i którym od najwcześniejszych lat wpajano, że socjalizm i komunizm to sam Antychryst, że żyjąc tą błogą tradycją z lat dziecięcych, stronią od czerwonego sztandaru. Ale jak długo wytrwają?... Ich koledzy, wczoraj jeszcze wierni organizacji chrześcijańskiej, katolickiej, dzisiaj już należą do czerwonego frontu. Nie powstrzymały ich nasze organizacje. Zdaje mi się, że nie bez racji jest zdanie, które coraz częściej słychać, zwłaszcza na zachodzie Europy: „Organizujemy się na śmierć!“ Towarzystwa, organizacje są dobre, ale tylko w pewnej mierze. Czego one dokonać nie potrafią, jako wyraz chrześcijańskiego ruchu społecznego, dokonywać powinna i musi Akcja katolicka, która sprawę ujmie głębiej, bo od duszy samej. Duszę tylko przez duszę ratować można, jak do serca dojdzie się tylko drogą przez serce.

Akcja katolicka dąży do urzeczywistnienia swego programu przyspieszenia panowania Królestwa Chrystusowego na ziemi przedewszystkiem przez wyeliminowanie w społeczeństwach pewnej elity, która wyszkolona i wewnętrznie wyrobiona na prawdziwych bojowników Chrystusowych będzie czynem i przykładem żywym szerzyła zasady katolickie. To samo musimy przeprowadzić także na terenie robotniczym. Nie burząc bynajmniej istniejących obecnie towarzystw i organizacyj

robotniczych, chrześcijańskich, dążmy do tego, by w nich byli członkowie-katolicy z krwi i kości, którzy nietylko będą dobrymi członkami, ale przedewszystkiem katolikami w całem swojem życiu prywatnem i publicznem.

Podstawową komórką społeczeństwa jest rodzina. Więc tam przedewszystkiem i w pierwszym rzędzie sięgać musi Akcja katol. Starajmy się o to, ażeby duszpasterstwo nasze uformować w tym kierunku, by opierało się na religijnej rodzinie. Jeżeli bowiem będziemy mieli rodziny, ojców, matki, córki, synów nawskroś przejętych zasadami religijnemi i rozumiejących dobrze znaczenie i wartość rodziny, to możemy być pewni, że także nasze życie w towarzystwach i organizacjach będzie się zupełnie inaczej, daleko owocniej, przedstawiało. Tak samo i obraz szkoły będzie wówczas zgoła inny. Dzisiai słyszy się dużo narzekań na przeróżne braki w szkolnictwie. Nie negujemy ich wcale. Ale ręczę, że, skoro wychowujemy sobie rodziny naprawdę religijne, to i szkoły się zmienią. Bo bądź co bądź jest każda szkoła odbiciem życia rodzinnego swojego środowiska.

Ale małoby było mieć wzorowe rodziny, gdzie ojciec by synów wychowywał na dobrych katolików, a matka córki na dobre katoliczki. Trzeba także dążyć do pewnej wspólności parafjalnej, do tego, co Niemcy nazywają „Pfarrgemeinschaft“, a czego dzisiaj tak bardzo brak społeczeństwu katolickiemu. Niechże wszyscy należący do jednej parafji wiedzą i będą sobie świadomi, że z swoim księdzem proboszczem na czele tworzą jedną wspólną wielką rodzinę, gromadzącą się w jednym kościele, dokoła jednego tabernakulum. Niechże parafjanie jednej parafji nie będą sobie obcy, ale złączeni serdecznemi więzami miłości Bożej i bliźniego. A wówczas zatrą się te różne czeluście klasowe, które odrażają jednych od drugich. Jeżeli sfery niższe i wyższe nie potrafią się sharmonizować na sali parafjalnej, to napewno podadzą sobie ręce w kościele przed jednem tabernakulum, siedzibą Ogniska Miłości. I tak doszliśmy do tego, jak wyrobić tę wspólność parafjalną.

Otóż zrodzi się ona tylko i jedynie w kościele. Zatem zacznijmy od tego, co do kościoła należy i do tej wspólności najwięcej się przyczyni. Otóż przedewszystkiem, zdaniem mojem, należy kłaść wielki nacisk na wyrobienie wewnętrzne,

ściślej, na pogłębienie życia religijnego przez wspólne nabożeństwa, najlepiej stanowe, ale wespół wszystkich warstw i klas społecznych (mężczyźni -- kobiety — młodzież męska — żeńska), przez wspólne modły, przez pielęgnowanie śpiewu kościelnego, przez ruch eucharystyczny no i przez rekolekcje. To złączenie się we wspólnej modlitwie i adoracji Przenajśw. Eucharystji, to wspólne wylanie się Boskiemu Sercu, to wspólne czerpanie sił z Krynicy Wiecznej Miłości nie może pozostać bez wpływu na całe życie prywatne i publiczne społeczeństwa.

Wreszcie warto jeszcze i podkreślić znaczenie ruchu liturgicznego dla wytworzenia wzgl. pogłębienia wspólności parafjalnej. Jeżeli bowiem każdy parafjanin będzie nietylko brał udział we mszy św., ale także zrozumie owo wielkie misterjum, jeżeli dalej nie będą mu obce nasze przewspaniałe ceremonje kościelne, sięgające w daleką przeszłość i łączące nas z Kościołem pierwszych chrześcijan — to wówczas silniej on się zrośnie z naszym św. Kościołem i bardziej w duszy jego pogłębi się nasza wiara.

To są fundamentalne zasady, których zdaniem mojem przestrzegać musimy, jeżeli chcemy ratować duszę robotnika. Pokażmy mu istotne walory naszej wiary. Zaprowadźmy go tam, gdzie wszyscy sobie są równi, gdzie każdy serce daje za serce i duszę za duszę. Zadawajmy w ten sposób kłam, panującemu dotąd w sferach socjalistycznych przekonaniu, że Kościół i religja to przeszkody na drodze do sprawiedliwości.

Ale o jeszcze jednej rzeczy zapominać nam nie wolno. Kwestja to przykra może, ale niestety w licznych wypadkach prawdziwa. Oto starajmy się o to i do tego dążmy całą siłą, ażeby z duszpasterstwa wyrugować tę zbyt materjalną stronę. Rozumiem, że duszpasterz potrzebuje utrzymania i t. d., ale niechże nie będzie mammonistą! Ta niejednokrotnie jaskrawa — sit venia verbo! — dbałość odstręcza dużo, przedewszystkiem ze sfer niższych, od Kościoła. A następnie niechaj ten duszpasterz sam zbliży się do tego robotnika, choćby był nie wiem jak czerwony.

Gdy w tych, co stoją po tamtej stronie portu widzieć będziemy raczej błądzących braci aniżeli przeciwników partyjnych, gdy gotowi będziemy podawać im naszą dłoń i oka-

żemy im gorące serce, to możemy być pewni, że oni wrócą do nas.

Praca nad ratowaniem duszy robotnika, to nie praca łatwa. To wysiłek żmudny i ciężki. A nie liczmy bynajmniej na to, że odrazu dużo pozyskamy dusz dla Kościoła. Wcale nie. Musimy sobie ten teren wywalczyć stopa za stopą. Ale walka będzie łatwiejszą i mniej napotykać będzie przeszkód, jeżeli my zawsze będziemy pamiętali o jasno wytkniętym kierunku, z którego ani na piędź zboczyć nie wolno, oraz jeżeli nie zapomnimy o wiecznotrwałej zasadzie: do serca droga przez serce.

Alojzy Fr. Kowalkowski.

O dobrą wolę.

Za pierwszy krok pracy nad zdobyciem czegoś dobrego uważamy dotąd zawsze zrozumienie dodatniej wartości tej sprawy. Jest to pogląd bardzo słuszny i nigdy takiemu działaniu na rozum nie można zarzucić, oprócz tego może, że często zbyt długo się przeciąga, że ogranicza jedynie do wykucia tego zrozumienia, czyli, że brak mu dalszego ciągu.

Ten ciąg dalszy, drugi punkt działania omówimy jednak później, a teraz przypatrzmy się, udowodnijmy sobie, dlaczego zrozumieć coś jest pierwszym warunkiem powodzenia jakiegokolwiek działania, przeprowadzanego w nas lub koło nas.

Odpowiedź prosta, zawarta jest w układzie właściwości cech ducha ludzkiego.

Oto nie może być mowy o przejęciu się prawdą, o wydostaniu jej sobie na światło dzienne, gdy nie odegra w tem roli krytycyzm. Krytycyzm jest bowiem sitem, przez które przelatują otręby kłamstw, na którem zostaje czyste ziarno prawdy. Zdolność prawdziwego krytykowania jest wyrazem i więcej jeszcze, bo miarą, zdolności umysłu do ogarnięcia zjawisk życia, do uogólnienia zjawisk życiowych zaobserwowanych w abstrakcyjną filozofję życia.

Co zostanie tedy na naszem mocnem sicie krytycyzmu jest według wszelkiego prawdopodobieństwa, ogołoconą od dodatków, a więc tą najbardziej pożądaną dla ludzi prawdą.

I oto zrozumienie czegoś wszechstronne, to właśnie przetrząsanie jej przez sito krytycyzmu, a więc uzyskiwanie niemal niewątpliwej prawdy.

— Oto dlaczego pierwszym krokiem, pierwszym momentem działania, jest działanie na rozum. Działanie to winno więc nosić z naszej strony cechy pomocy dla umysłu ludzkiego, winno być podsuwaniem sposobów do jaknajlepszego rozstrząśnięcia spraw; winno być potrząsaniem sitem krytycyzmu—powiemy, by dokończyć nasze rozumowanie także i w sferze porównania.

Obserwacja i doświadczenie jednak stwierdzają niezbicie, że zrozumienie nie stanowi najważniejszego momentu działania, aczkolwiek jest momentem pierwszym w kolejności.

Najważniejszem jest abyśmy umieli zadziałać na dobrą wolę własną lub cudzą, by dobra wola, pozostając wolną, stała się silną, siłą wrodzoną i nabytą.

Bo umysł ludzki zbyt jest władny, zbyt jest obdarowany przez Boga, by mógł się oprzeć oczywistości prawdy, by pozwolił na zaćmienie jej przed sobą przez kłamstwo i fałsz.

Jeśli tylko jesteśmy przekonani, że rzucamy w umysły prawdę, to choćby w umysły te padały całe stosy kłamstw, ze wszystkich innych stron, bądźmy pewni, że umysł wyłoni prawdę, choćby była pyłkiem w porównaniu z tem, co ją pragnie zakryć.

Bo umysł ludzki władny, przez Boga obdarowany jest magnesem, który wyłoni z pośród śmieci stal, stal prawdy.

Chciałoby się powiedzieć, że w tem świetle nakazanie komuś zrozumienia dobrej sprawy, nie będzie dla nas kłopotem, nie będzie wielką trudnością. — A jeśli jest trudnością to czemu?—nasuwa się odrazu pytanie.

Oto dlatego, że do działania spekulatywnego rozumu, trzeba dodać drugi, ważniejszy od pierwszego „czynnik zdobywczy"—działanie woli.

Działanie to zaś w człowieku ma się objawić w dwuch chwilach, wola ma w tym wypadku dwa rodzaje działania.

Pierwszy — równoczesny z działaniem rozumu, ze spekulacją; musimy wolą zmusić rozum do poszukiwania, do rozstrząsań, musimy go zmusić do wyzyskania swych własnych zdolności.

— Może nie dość ścisłe było porównanie rozumu do magnesu dla prawdy, dopiero harmonja, całość, jaką tworzy z rozumem wola da nam gwarancję odnalezienia pełnej prawdy. Zrozumiałem jest zresztą w świetle obserwacji życia, że pełnię jakiegokolwiek działania daje zespolenie i współpraca wszystkich władz duchowych człowieka.

Tak więc pierwszym momentem działania woli w zdobywaniu doskonałości, jest to, by była bodźcem dla rozumu.

Gdy to zastosujemy, stajemy przed faktem rozumienia, że w tym czy tamtym kierunku winniśmy podjąć pracę.

Na tem niestety bardzo często się kończy. Kierunek wytknięty, cel widoczny i znany, rozum ku doskonałości ciąży, a nogi jak stały tak stoją.

A jednak w człowieku zebrana już jest pewna ilość energji w tej chwili,—należy to sobie dobrze uświadomić.

Dojście bowiem w umyśle do prawdy równa się zdobyciu energji ciążenia ku niej.

To wynik budowy ludzkiego ducha.

Człowiek zawsze będzie pragnął prawdy, a gdy ją ujrzy natura go do niej pcha na przebój. I znowu to kategoryczne postawienie sprawy zmusza nas do rzucenia pytania: czemu w takim razie zrozumienie prawdy nie równa się rozpoczęciu wyścigu do niej!

— Dlatego, że energja w chwili rozumienia jest energją utajoną, potencjalną. Trzeba tę energję wyzwolić, trzeba, by stała się energją kinetyczną, energją ruchu, działania.

Toć najzwyklejsze prawo fizyki!

Oto i drugi moment w którym ma zadziałać i działać wola, działanie, objawiające się jako czynnik wyzwalający poprzednio nagromadzoną energję.

Wola ma rozpocząć teraz właściwą swą pracę, ma być właściwym zdobywcą doskonałości, jakkolwiek rola rozumu nie skończyła się jeszcze; — musi on utrwalać i utrzymywać zdobyte przekonania.

To też, chcąc widzieć wynik swych prac, winniśmy przypuścić atak na dobrą wolę ludzi. Teraz wolę pobudzać, teraz wynajdywać bodźce boskie i ludzkie, by działała wola. — Bo naprawdę często ignorujemy wolę, zapominamy, że bez woli nie postąpi człowiek w niczem ani pół kroku.

Tłumaczymy i tłumaczymy, aż się już robi nam i uczniom naszym nudno. Tłumaczymy, rozpoczynając działanie, tłumaczymy potem po raz drugi i trzeci i wtedy gdy nie możemy dojrzeć wyników naszej pracy, znowu za jedyną radę uznajemy tłumaczenie.

A wola! — Ona właśnie pozostaje w macoszem zapomnieniu.

Mówi się często, że brak woli, to choroba naszego wieku. I słusznie, ale też umiejmy z tej obserwacji, która stała się głównem kryterjum w ocenianiu ducha czasów, wyciągnąć konsekwencje. Nie przesadzimy, mówiąc, że rozum stoi dziś na takich wyżynach, na jakich nie stał jeszcze nigdy. Tak jest i być musi. Umysł bowiem przeciętnego człowieka musi ogarnąć sto razy więcej, niż ogarniał dawniej. Już badania antropometryczne stwierdzają powiększenie objętości czaszki, siedliska mózgu, który jest organem naszych władz umysłowych.

Niema więc obawy, by człowiek nie był w stanie zrozumieć prawdy; ale gdy nie pchniemy umysłu wolą, którą osłabia materjalizm we wszystkich swoich objawach, gdy nie użyjemy woli, by logicznym czynem stwierdzić rezolucje umysłu, nic dziwnego, że zdaje się nam, że człowiek rozum stracił.

Tak więc dla wieku jest postawiona i stawiana ciągle, tylko nie dostrzegamy środków, które jako lekarze dusz ludzkich mamy użyć. A może inaczej: widzimy je, ale im nie wierzymy. A tymczasem środki są dobre i tylko po nie ręką sięgnąć.

Sięgnijmyż więc dla drugich i siebie. *Marjan Jan.*

Znaczenie prasy dla akcji katolickiej.

Sądzę, że nie potrzebuję tłumaczyć czem jest akcja katolicka, ani udowadniać konieczności jej istnienia. Wszyscy wiemy w jakim położeniu znajduje się obecnie Kościół w Polsce. Znów, jak przed 1000 lat, staje się aktualna sprawa czy Polska będzie katolicką czy pogańską. Każdy począwszy od najwyższych dygnitarzy kościelnych, a skończywszy na zwykłym robociarzu, czytającym raz na tydzień popularną gazetę, zdaje sobie sprawę z tych ataków i szykan na które

jest narażony katolicyzm ze strony sfer antyreligijnych. Każdy tydzień, dzień nawet, aż nadto dostarcza faktów. W tych warunkach musiała, jako samoobrona powstać akcja kat., mająca na celu konsolidację i organizację wiernych pod sztandarami wiary.

Gdzie nie idzie o osiągnięcie chwilowego efektu, lecz o wychowanie mas w pewnej ideologji, tam nie sporadycznie urządzane wiece, nie protestacyjne manifestacje, na naczelnem miejscu należy postawić, lecz prasę. Ona stale i systematycznie urabiając opinję jednoczy ludzi o podobnych przekonaniach w zwarty obóz, stanowiący pewną siłę społeczną,

Znane wszystkim z wywrotowej działalności „Wyzwolenie" wywodzi się w prostej linji od przedwojennego pisma „Zarania". Kadry działaczy socjalistycznych zapoznawały się z teorjami Marxa na łamach „Robotnika".

Podwaliną akcji katolickiej musi być prasa katolicka. Nie wolno nam o tem zapominać. Jeden z współczesnych myślicieli francuskich powiedział: że gdyby św. Paweł żył to założyłby drukarnię i wydawałby dziennik katolicki. Jest to paradoks, lecz tkwi w nim głęboka znajomość psychiki współczesnej ludzkości. W dzisiejszych czasach gdy zawsze i wszędzie się spieszymy niejeden pośród rożnych geszeftow nie znalazłby czasu na wysłuchanie nawet genjuszem Bożym natchnionego, mówcy. Gazetę można przeczytać nawet podczas jazdy tramwajem.

My pisma katol. musimy dostarczyć każdemu. Winny być one przedewszystkiem dostosowane do poziomu intelektualnego czytelnika. Inne dla proletarjatu, inne dla inteligencji. Zwłaszcza specjalną opieką należy otoczyć inteligencję. Wśród niej muszą się znaleźć przywódcy dla mniej wykształconych i mniej wyrobionych politycznie klas niższych. Wszelki ruch społeczny bez inteligencji jest nie do pomyślenia, z góry skazany na zagładę. Komunizm dla tego tak jest groźny, że na jego czele stoją sfanatyzowani inteligenci, im zawdzięcza swój już zbyt długi żywot. Tem się on różni od buntów hajdamackich.

Ożywiona duchem religijnym inteligencja jest najskuteczniejszym puklerzem narodu przed atakami bezwyznaniowców. Tak pospolity u nas typ katolika „paszportowego" może być

wypleniony przedewszystkiem dzięki prasie katolickiej. Nie wystarczy jednak wydawać pismo, choćby na bardzo wysokim poziomie. Inteligencję naszą należy przyzwyczaić do czytania. Pod tym względem panują doprawdy skandaliczne stosunki. Nakład wszystkich polskich pism, to nakład jednego dziennika francuskiego. Na każdym z nas ciąży dziś obowiązek „apostolstwa prasy”. Nikomu nie wolno się uchylać od tego, w imię miłości bliźniego nakazującej nietylko głodnego nakarmić, lecz i ciemnego oświecić; co pośród panującej nędzy umysłowej jest czynem nawskroś samarytańskim.

Zygmunt Prószyński.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Ruch misyjny a młodzież akademicka.

a) Czy myśl misyjna odpowiada duszy akademika?

Często wspominany Kongres Misyjny Poznański skierował wzrok zdumionych obserwatorów na ciekawy ruch misyjny wśród młodzieży akademickiej. Warto się więc zastanowić, czy wogóle zainteresowanie dla misyj odpowiada młodzieży, szukającej na wyższych uczelniach głębszego wykształcenia. Zbadajmy przeto psychę młodzieży, napływającej na uniwersytety.

W dobrze prowadzonem studjum gimnazjalnem rozwinęły się dążności, które tworzą człowieka, a przedtem w pacholęciu drzemały w stadjum nieokreślonej jakiejś martwoty. Obudziła się świadomość własnej siły i zdolności, rozkwitnęło poczucie pięknej formy i piękna moralnego, zawrzała w żyłach krew do czynu.

Stąd zapał do literatury, do poetów i do filozofji. Kto z was, nie próbował rymów, a przynajmniej nie upijał się Krasińskim, Mickiewiczem czy Horacym lub Goethem. Kto z was nie rozprawiał „uczenie” o Kancie, Platonie i Pascalu? Kto z was nie potępiał w czambuł stary świat i niewidział rysów walącej się skostniałej ludzkości?

Widzę w młodzieży dwudziestokilkoletniej trzy podstawowe skłonności: pociąg do pojęć ogólnych i szerokich, zamiłowanie ideałów i dążność ku rozszerzeniu swej działalności w niezmierzone przestwory.

Popęd ku pojęciom ogólnym sprawia, że młodzież łatwiej niż człowiek lat czterdziestu zapala się do haseł ogólnych czy to w polityce, czy w życiu moralnem. Wiedzą o tem starsi, i dlatego na młodzież zarzuca wędkę ruch wszechpolski, socjalistyczny i komunistyczny, łowiąc ją kilku ogólnemi frazesami. Kto zdoła obliczyć, ile miljonów młodych ludzi uwiodło hasło: młodość musi się wybujać! Która z młodych głów, okrytych czapką akademicką, zdaje sobie zupełną sprawę z następstw zaciągnięcia się pod sztandar nacjonalizmu, socjalizmu czy hedonizmu. Młodzież akademicka nie chciwa rzeczy drobiazgowych, jej świeci hasło piękna.

Tęż samą stronę akademickich serc wyzyskuje — ale już w zamiarach wzniosłych — religja. Nie przedstawia im drobiazgowych sporów między tomizmem a molinizmem, ani między jedną wersją a drugą tekstu jakiego, ale roztacza przed jej lśniącem okiem ideę Królestwa Bożego na ziemi, dla którego trzeba zdo yć miljony dusz, żyjących na bezgranicznych przestrzeniach lądu ziemskiego, tłumaczy ogólnikowo, że Bóg—Stwórca wrodzone ma prawo do posiadania wśród swoich poddanych i dziedziców nieba te rzesze bezbrzeżne, które Go jeszcze nie znają, wskazuje na Ukrzyżowanego Zbawiciela, co poraz drugi to prawo przez ludzi przegrane bolesnym sposobem zdobył. Oto jak stosownie wypełniają hasła misyjne to rozmiłowanie młodych dusz w ideach wielkich.

Młodzież rwie się dalej ku ideałom moralnym, zachwyca się pracą bezinteresowną, odrazę czuje do sposobów podłych szukania bogactw czy zaszczytów. Przecie „Oda do młodości" tem właśnie umiłowaniem wysiłków szlachetnych a zapoznanych zyskała sobie poklask młodzieży na wieki. Stąd też młodzież nazywa tych co weszli w życie praktyczne i stracili dawne ideały, filistrami, bo oni jak ongiś Filistyni budują jedynie na sile materjalnej, a nie ufają jak Dawid siłom niewidocznym, zakrytym w człowieku albo nadanym od Boga. Dlatego tak łatwo młodzież porywa się ku celom szczytnym, choć mało rokującym nieraz nadziei. Najgorliwszych zwolen-

ników Ligi Narodów, nad którą starsi kiwają głową sceptycznie znajdziesz wśród młodzieży. Podobnie powołania do zawodów, przedstawiających szczególne trudności jak stan zakonny, kapłański, wojskowy, naukowy, rodzą się wśród młodych, a rzadko zdarza się, by starszy powziął tak ciernistą decyzję. Częściej się zdarza, że ktoś mając lat czterdzieści rzuca zawód wznioślejszy, by przejść do bankowości albo przemysłu, uwiedziony korzyścią przyziemną, aniżeli przeciwnie. Szczęście, że w latach młodych odbywa się wybór zawodu.

Stąd dla młodzieży akademickiej wydaje mi się nader stosownem zainteresowanie się misjami. Pracować dla ludów, których nie znam, ze względu na Boga, który mi nie zapłaci ni złotemi, ni dolarami, ni funtami szterlingów, pracować i wspomagać, mając samemu puste kieszenie, myśleć o misjach, gdy egzaminy i kolokwja jak gorąca opara leją się za kołnierz, to uważam za rzecz godną w najwyższym stopniu akademika, rozmiłowanego w ideałach, w poświęceniu, w bezinteresowności.

W młodzieży widzę jeszcze trzecią skłonność, mianowicie dążenie do ekspansji. Podobnie jak ku rozpaczy rodziców dorastający młodzieniec coraz to obszerniejszych potrzebuje ubrań, rozpycha stare i wyrasta z nich, tak w duszy młodego człowieka zakres zainteresowania olbrzymieje, wylatuje ponad rodzinne podwórko, poza granice swego kraju i nieraz ze szkodą intensywności oddaje się ekspansywności. Czytać jednego autora gruntownego? Nie, wolę dziesięciu ciekawych. Słyszeć o tem, co się dzieje w Krasnymstawie lub Kraśniku? Nie, wolę śledzić, zwłaszcza przy obecnie tak popularnem radjo lot transatlantycki Costesa i Bellonte, albo ekspedycję na biegun. A przytem jeszcze młodzież chce dalekie zwiedzać kraje i bić się za wolność, stąd wyprawy krzyżowe młodych rycerzy, stąd trubadurzy, stąd legjony cudzoziemskie, co walczą w cieniu Atlasowych gór, stąd loty i wyprawy awanturnicze.

Znowu więc uważam, że zainteresowanie się misjami, gdzie walczą z krzyżem w ręku miast miecza, miłością ku swemu Królowi i ku swej Królowej rozpaleni, trubadurzy-misjonarze, w krajach, pieczonych słońcem podzwrotnikowem, gdzie jeszcze nie postała noga Europejczyka, roztoczenie moralnej opieki nad korporacjami czarnych komilitonów, którzy

wprawdzie nie mają matury ni dyplomów magisterskich, ale z czasem też je zdobędą; rozprawianie o tych bajecznych krajach, a zwłaszcza o tych ciekawych duszach, to — mówię — jest zajęciem wymarzonem dla akademików.

I dlatego chciałbym tysiące akademików widzieć wyznawcami idei misyjnej. Powiedziałbym, że wtedy dopiero będą akademikami w całem tego słowa znaczeniu. Winszuję więc tym, którzy są na wpół drogi i zapewniam im rozkosze niebywałe w naszych misyjnych staraniach.

Na uwagę naszą zasługuje tu fakt, że w protestanckiej akcji misyjnej prym dzierżą właśnie sfery akademickie i to jest bez wątpienia tajemnicą siły całej akcji. Regularne konferencje i coroczne zjazdy misyjne urządzane przez inteligencję, rozniecają i podtrzymują zapał misyjny. Na jednym takim zjeździe w Liverpol (1912) zgromadziło się 688 filologów, 357 teologów, 131 medyków i 183 przyrodników. Statystyka wykazuje, że instytucje misyjne Ameryki Północnej faktycznie $^{2}/_{3}$ powołań i środków materjalnych czerpią właśnie z kół akademickich. Hasłem tych kół jest: Nawrócenie świata — oczywiście na herezję — przez obecne pokolenie.

b) Jakie są cele i drogi pracy w akadem. kołach misyjnych? Że tak nas mało jest dotychczas w akademickich kołach misyjnych, pochodzi z nieznajomości ich zadań; ignoti nulla cupido.

Akadem. koła misyjne zamierzają obudzić we wszystkich akademickich i w kołach wykształconego starszego społeczeństwa zainteresowanie dla misyj rzeczywiste, a nie tylko pozorne, stałe a nie tylko chwilowe, wydatne a nie ideowe. Nie marzymy o zgłębieniu wszystkich zagadnień misyjnych, ale chcemy dojść do znajomości misyj takiej, jaką ma maturzysta o historji powszechnej lub filozofji, czy pracujemy nad tem, by każdy inteligentny katolik o wykształceniu uniwersyteckim posiadał zasadnicze dane z historji misyj, z rozmiarów pracy misyjnej i wiedział, jakie są jej najbardziej palące potrzeby: Akadem. Koła Misyjne mają dostarczyć Dziełom Papieskim: Rozkrzewiania Wiary i Św. Piotra Apostoła członków godnych miana katolików-akademików. Po akademikach spodziewamy się, że opuściwszy ławy szkół wyższych i wstąpiwszy w pracę zawodową, hojnie darzyć będą dzieła misyjne,

gdy dochody przewyższać będą konieczne wydatki życia rodzinnego.

Akademicy, doznawszy szczęścia czerpania nauki wyższej, a przytem przepojonej duchem katolickim, niech z wdzięczności za ten dar nieba modlą się o to i pracują nad tem, by Uniwersytety Katolickie na Wschodzie jak najszersze mogły objąć kręgi młodzieży pogańskiej, by też młodzieńcy z Afryki i Azji, studjujący na uniwersytetach europejskich, nie stracili wiary, nawet tej, którą przynieśli ze stron ojczystych, ale by mogli ją udoskonalić w duchu chrześcijańskim i katolickim.

Z wytwornością wykształcenia idzie w parze delikatność sumienia; im jaśniej w głowie, tem szerzej w sercu. Odnieśmy to zdanie do misyj, a powiemy, że akademik poznawszy je w głównych zasadach, musi stać się drogowskazem i przewodnikiem rzesz katolickich względem obowiązku misyjnego. A każdy niech działa w zakresie swego zawodu.

Profesor szkół średnich ogólno-kształcących czy zawodowych najwięcej może zdziałać dobrego. Wykładając historję powszechną czy geografję, botanikę, czy zoologję, czytając z uczniami dzieła pisarzy starożytnych czy współczesnych, ojczystych czy obcych z łatwością wtrącić może uwagę o misjach. Nie trzeba zwalać tego obowiązku na swego kolegę w sutannie, ale samemu mówić o bohaterskich wysiłkach misjonarzy. Godne są one conajmniej stanąć obok bajecznych perytetyj Eneasza czy Odyseusza, a przewyższają je dostojeństwem celu. Że brak powołań do stanu kapłańskiego czy zakonnego tak nas boli i upokarza, czyż nie wina w tem, że ich się nie budzi? Powołanie suponuje wołającego. W pierwszym rzędzie jest nim Bóg i biskup, ale praktycznie biorąc w stopniu wybitnym jest nim profesor. Zwłaszcza do tych profesorów, którzy wyjdą z uniwersytetu katolickiego wolno wołać: Budźcie powołania misyjne! Niech profesor były członek akademickiego koła misyjnego, stworzy w swoim zakładzie gimnazjalne koło misyjne, jeżeli go jeszcze niema, albo stanie się jego duchem opiekuńczym, jeżeli już istnieje.

Akademicki ruch misyjny ma dalej na oku studentów teologji. Zainteresowanie dla misyj nie jest psychologicznie zawarte w powołaniu kapłańskiem. Teologicznie biorąc wprawdzie kapłan powinien mieć dobro wszystkich dusz na oku,

a więc i pogan. Tak samo jednak oficer linjowy nie odrazu nadaje się do sztabu generalnego, który większe ma jednostki bojowe na oku, ale dopiero po przejściu kursu szkoły taktyki, strategiki staje się zdolnym sztabowcem, tak samo i student teologji, jeśli nie zdobędzie znajomości taktyki misyjnej w akademickiem czy seminaryjskiem kole misyjnem, nie nauczy się patrzeć na potrzeby dusz poza diecezją jego i poza krajem żyjących. Niech więc po systematycznej pracy akademickiej w kole misyjnem stanie się po wyświęceniu ruchliwym członkiem Unionis Cleri pro missionibus.

Teolodzy powinni szczególnie ukochać Dzieło S. Piotra Apostoła ku wychowaniu duchowieństwa tubylczego w krajach misyjnych. Wielka łaska osobistego powołania kapłańskiego obowiązuje ich do modlitwy o ten sam przywilej dla dwóch innych młodzieńców: jednego z kraju, drugiego w dalekich dzierżawach ludów jeszcze nie nawróconych.

Warto też studentom medycyny podać pod uwagę, że protestanci w krajach misyjnych posiadają przeszło tysiąc lekarzy i lekarek, podczas gdy katolicy mogą im przeciwstawiać zaledwie dwunastkę, praktykującą za morzami wśród pogan ten sam zwód.

Studenci wszystkich innych wydziałów: czy to praw czy nauk społecznych czy ci, ktorzy się sposobią do pracy literackiej i publicystycznej, wyniósłszy treściwe wiadomości z akademickich kół misyjnych znajdą sposobność korzystania z nich czy to w akcji katolickiej na zebraniach Ligi, czy to na trybunie sejmowej, by przedstawiać interesy państwa moralne w ekspansji misyjnej jego obywateli, czy przy stole redaktorskim albo pisarskim, czy wreszcie w przedsiębiorstwach finansowych, by wiedzieć jak ulokować lukratywnie dla nieba nadwyżkę dochodów.

Wobec tego także, że niektóre zawody wykształcone mają nadmierny napływ młodych kandydatów, a z drugiej strony Polska małą odgrywa rolę na terenach misyjnych, trzeba wziąć także pod uwagę wyjazd młodych lekarzy, dziennikarzy, ekonomistów, geografów, inżynierów, pedagogów na placówki misyjne, by przy boku misjonarzy spełniać obowiązki swego zawodu. Zagadnienie to coraz żywiej dyskutuje się na

Kongresach Ak. Młodz. Mis., zwłaszcza na dwu ostatnich, odbytych w Wiedniu i w Lubjanie.

Słowem akademicy powinni zaostrzyć sumienia społeczeństwa całego, stępione na punkcie misyjnym. Głębiej rozumiejąc zamysły Boże i przedsięwzięcia Kościoła, niech donioślej o nich mówią i skuteczniej dla nich pracują.

Oto cel akademickich kół misyjnych. A metoda? Przeróżna: wykłady, referaty, wspólna lektura pism misyjnych, korespondencja z misjonarzami, kursy, akademje, nabożeństwa misyjne — co kto woli, różne drogi wiodą do Rzymu. Mniej chodzi jaka metoda, byle pracować. I tu można zastosować słowo: Ama et fac quod vis. *Ks. Dr. Stefan Abt.*

Pomorze a powstanie listopadowe.

W setną tegoż powstania rocznicę.

Walka o Pomorze traktatem wersalskim bynajmniej się nie zakończyła. Przeciwnie, nieustanne parcie Niemców ku rewizji granic wschodnich Rzeszy ciągle walkę tę na nowo podsyca i zaostrza. My zaś, gdy chcemy z niej nie wyjść pokonani, musimy silnie stać na posterunku i całą mocą bronić naszych praw narodowo-historycznych na terenie nadbałtyckim. Z rozlicznych sposobów obrony Pomorza pragniemy na tem miejscu podkreślić jedną metodę: sięgać do historji polskości na Pomorzu i wydobywać z niej wszystko to, co Pomorze wiązało i wiąże z całą Polską. Należy pokazać światu, że Pomorze żyło duchem zjednoczone z Macierzą, że łączność tę niejednokrotnie czynem wyraziło.

Już dwukrotnie mieliśmy możność, korzystając z gościnności Sz. Redakcji, wydobyć na łamach naszego „Pro Christo" coś niecoś z dziejów polskości Pomorza. Obecnie, z okazji przypadającej latoś wiekowej rocznicy Nocy listopadowej, pragniemy choćby w krótkości pokazać łączność Pomorza z tym Czynem Narodowym. Wszak i Pomorzanie, przekradłszy się przez silnie strzeżony kordon, brali udział w walkach powstańczych. A echo tego odruchu wyzwoleńczego przez lat kilkadziesiąt nawet rozlegało się po ziemi nadbałtyckiej, podtrzymywane w tajnych organizacjach filomacji pomorskiej.

Rozbiory jako ciężki cios zawisły nad narodowem życiem Pomorza. Kraina ta cała pogrążyła się jakby w letargu. A na polskiej duszy Pomorzan zaczęło pracować twarde dłuto germanizacji. Fryderyk II pruski całą siłą parł ku temu, ażeby wyrugować doszczętnie polskość z tych ziem, o których sam był się wyraził w liście z dnia 1 kwietnia 1772 do prezesa komory wschodnio-pruskiej, że „mieszkańcy szczególnie w województwie pomorskiem przeważnie są narodowości polskiej" (cyt. prof. dr. Sobieski w „Walce o Pomorze" str. 164). Usuwano urzędników polskich, upośledzano Polaków w nabywaniu ziemi przy równoczesnej kolonizacji elementu pruskiego, rugowano język polski na każdym kroku i t. d. Wielki wpływ germanizatorski miały także przeznaczone dla dzieci szlachty polskiej szkoły oficerskie w Słupsku (Pomorze niemieckie) i w Chełmie. Później, po wojnach Napoleońskich, połączono Prusy Zachodnie z Wschodniemi i utworzono jeden wspólny stanowy sejm prowincjonalny, by w ten sposób słusznie obniżyć polskość Pomorza. Prezesem naczelnym tych połączonych Prus Wschodnich i Zachodnich został Schoen, które to nazwisko ściśle łączy się z historją polityczną Pomorza pierwszych dziesiątek lat ubiegłego stulecia. Jako zaciekły wróg Polaków określił Schoen swoją misję prezesa naczelnego słowy: „Z niewolników zrobić ludzi, z Słowian Niemców". Szczególną nienawiścią pałał ku szlachcie pomorskiej. Jej jak i mieszczaństwu najwięcej poświęcił uwagi. Pozatem kładł także wielki nacisk na szkolnictwo, które miało utrwalać i podtrzymywać germanizację.

Wysiłki władz pruskich—trza to przyznać — nie poszły na marne. Wprawdzie prosty lud polski zachowywał wiarę i mowę ojców, wprawdzie w kościołach takich miast, jak Gdańsk, Malborg i Elbląg rozbrzmiewał język polski—jednakże szlachta coraz bardziej się sprusaczała, poddając się wpływom najezdnej inteligencji. Nie tylko łączyła się z Niemcami związkami małżeńskiemi, jak to stwierdza ks. prałat Mańkowski w pracy „Pod rządami pruskiemi" — Roczniki Historyczne III, 1927 (tom poświęcony Pomorzu), ale w tym czasie, t. zn. w latach 1815 do 1846 nawet „nie było prawie rodziny szlacheckiej i ziemiańskiej na Pomorzu, któraby się nie posługiwała językiem niemieckim jako potocznym nawet w domowem pożyciu" (ks. Mańkowski Roczn. Hist. III, str. 262).

Piszemy o tem trochę obszerniej, ażeby choćby pobieżnie wymalować tło, na jakiem odgrywa się rola Pomorza wobec sprawy polskiej w dobie powstania listopadowego; ażeby pokazać, jak wyglądało Pomorze i sprawa polska na Pomorzu w chwili szturmu Nabielaka na Belweder.

Jakkolwiek silne były zabiegi germanizacyjne władz pruskich, to jednakże nie zdołały one wyrwać jądra duszy polskiej. Najlepszym tego dowodem, gorąca sympatja Pomorzan dla akcji powstańczej 30 roku a nawet czynny ich współudział, mimo, że, źle widać w tych sprawach poinformowany prezes nacz. Schoen był niezwykle zadowolony z zachowania się Pomorzan w czasie powstania, uważając, że nikt z Pomorza nie łączył się z Wysockimi, Goszczyńskimi czy Dwernickimi. Skoro bowiem dotarły tutaj pierwsze wieści o czynie wyzwoleńczym Polaków pod zaborem rosyjskim, natychmiast utworzyły się w Toruniu i w Bydgoszczy osobne towarzystwa dla popierania ziomków. Pozatem także wysłało Pomorze swoich przedstawicieli do Kongresówki, którzy tam orężem współdziałali w walce z tyranją moskiewską. Coprawda niedużo ich było. Ks. Mańkowski szacuje liczbę ich na 100—200, biorąc pod uwagę, że później „w roku 1880 liczono jeszcze coś około 30 uczestników wojny narodowej, żyjących w Prusiech Królewskich, coprawda nie wszystkich rodowitych Pomorzan". (Rocz. Hist. III, str. 273). Przytacza ks. M. także kilka nazwisk Pomorzan—powstańców, wymieniając Kucharskich z Niedźwiedzia, Borowskich z Kaszub, Kamińskiego z Mroczna i Franciszka Ksawerego Malinowskiego, syna burmistrza golubskiego, późniejszego księdza i słynnego językoznawcę (ibid.). Niedużo, jak widać poszło z bronią w ręku przeciw Moskalom, a to dlatego, ponieważ dyktator Chłopicki, nie chcąc narażać się rządowi pruskiemu, odmówił stanowczo przyjęcia do szeregów powstańczych ochotników z zaboru pruskiego. Odpychał szorstko wszystkich, którzy zgłaszali się z Pomorza, Wielkopolski i Śląska. A co gorsza, oświadczył nawet delegacjom wielkopolskim na audjencjach publicznych, co nie pozostało naturalnie bez echa w Berlinie, że w razie żądania Prus wyda wszystkich ochotników (ob. Andrzej Wojtkowski „Pod rządami pruskiemi do r. 1848" Roczniki Historyczne I, 1925 — tom poświęcony Wielkopolsce, str. 153).

Dowodem duchowej łączności Pomorza z Królestwem w czasie powstania listopadowego to także owe „listy powstańcze", wychodzące z Gdańska do walczących za kordonem rodaków, a przedewszystkiem stanowisko względem powstania 31 roku pastora luterskiego w Gdańsku, Mrongoviusa, lingwisty polskiego i wydawcy pieśni kaszubskich. Otóż ten to Mrongovius, który ku wielkiemu zgorszeniu prezesa naczelnego Schoena wygłaszał w Gdańsku kazania po polsku i nie przyjął ofiarowanej mu lepszej posady by właśnie pozostać w Gdańsku, w liście z dnia 18 kwietnia 1831 zapewniał Towarzystwo naukowe w Warszawie, że modli się gorąco za powstańców, a upadek powstania odczuwał sam jako okropny cios, który mu kazał wylewać „gorzkie łzy". (Ob. Prof. Dr. Wł. Francew, „Przyczynki do dziejów odrodzenia kaszubskiego" Gryf — nieistniejące dzisiaj dzisiaj czasopismo dla spraw kaszubskich, IV, 11—12, str. 314—320, Kościerzyna—Gdańsk 1912. Do artykułu tego dołączone są 2 listy Mrongoviusa 1) z 18-IV-1831 do Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie, 2) do p. Wacł. Aleks. Maciejowskiego, Prof. Uniw. Warsz. z datą 1-XI-1832.—Ob. także Sobieski „Walka o Pomorze" str. 177 i 178).

Serdeczność Pomorzan ku wojownikom o wolność, okazana tak żywo w czasie trwania walk powstańczych nie ustała bynajmniej z chwilą upadku powstania. Przeciwnie, tak się warunki złożyły, że właśnie Polacy z Prus Królewskich mieli możność zetknąć się blisko z powstańcami i głębsze jeszcze zadzierzgnąć z nimi węzły braterskie. Wszak przez Pomorze przechodziły całe falangi powstańców, by udać się do Francji. I wszędzie witano tych bojowników o wolność z prawdziwym entuzjazmem. Doznawali oni gościnnego przyjęcia i szczerej życzliwości nie tylko od Polaków pod zaborem mieszkających, ale także często od ludności niemieckiej, przedewszystkiem w Niemczech południowych i zachodnich. Za to władze niemieckie i wojsko nie szczędziły Polakom dokuczań a nawet kul karabinowych.

Jeden taki oddział powstańców-emigrantów w drodze do Francji przechodził przez miasteczko Nowe nad Wisłą. W czasie krótkiego tam postoju prosili nowskiego proboszcza, ks. Bieszka o odprawienie nabożeństwa za dusze poległych towarzyszów broni. Ks. B. przychylił się do prośby powstańców i nabożeństwo żałobne odprawił. Tymczasem na skutek doniesienia władz

wojskowych do króla a następnie z rozporządzenia królewskiego, konsystorz wytoczył proboszczowi proces o zgorszenie publiczne, wywołane owem nabożeństwem „za tych, którzy się zbuntowawszy przeciw swemu legalnemu z naszym Najjaśn. Królem węzłami krwi i przyjaźni ściśle związanemu monarsze, nie wahali się podnieść oręż" (ks. Mańkowski Rocz. Hist. III, str. 269).

Wojsko polskie, opuszczając kraj i przechodząc na teren pruski, wstępowało, jak pisze Artur Śliwiński w „Powstaniu listopadowem", „na pole hańby". Istotnie los, jaki czekał rozbitków polskich w Prusiech był bardzo smutny i ciężki. Prusacy starali się na każdym kroku dokuczać Polakom, wyzyskiwali ich, traktowali ich niejednokrotnie nie jak ludzi. Tak np. dowodzony przez generałów Siełguda i Rolanda oddział wojska pol., który w lipcu 1831 roku ze strony litewskiej przeszedł granicę pruską, nie tylko że został rozbrojony, ale trzymano żołnierzy w długiej, uciążliwej kwarantannie, która miała trwać początkowo 5 dni a przedłużyła się do 8 tygodni. Obóz ten znajdował się opodal wioski Pakamong. W nieludzki sposób obchodzono się tam z Polakami. Już samo miejsce obozowe przedstawiało się horendalnie. Była to bagnista okolica, gdzie woda stojąca służyła do picia, gotowania, kąpania, prania i pojenia koni. Silna w trzech rzędach ustawiona straż piechoty i kawalerji pilnowała internowanych, a od czasu do czasu artylerja wystrzałem „na postrach" przypominała Polakom ich niedolę. W dodatku starano się na powstańcach wymusić słowo honoru, że już nigdy nie ruszą sprawy narodowej, to znowuż rozsyłano tajnych agentów i szpiegów do obozu, dużo z Polaków przepadło bez wieści a innych wydano podstępnie Moskalom. Chwytali się bowiem Prusacy tak niecnych sposobów, że np. wysyłali swoich agentów, którzy obłudnie ofiarowali się na przewodników przez granicę, by mogli wrócić w ojczyste strony, a następnie wydali ich w ręce Moskali. Gdzieindziej znowu, np. pod Królewcem próbowano głodem zmusić Polaków do powrotu pod nahajkę kozacką. Gdy to nie pomogło, zmuszono oficerów do odjazdu, szeregowych zaś, studentów warszawskich i wileńskich, oddano oficerom pruskim, poczem przepadli bez wieści. Podobne postępowanie władz pruskich miało być „omijaniem" wzgl. „przestrzeganiem" konwencji polsko-pruskiej, zawartej przy przekraczaniu granicy, która opiewała: nie wolno ani całego korpusu

ani też poszczególnych Polaków zmuszać do powrotu na teren Polski, ani też nie wolno nikogo wydawać władzom rosyjskim (ob. M. W. „Postępowanie wojskowych władz pruskich wobec bezdomnych Polaków w roku 1832", Mestwin, dodatek naukowo-literacki Słowa Pomorskiego, III, 5 i 6, 1927 r.).

Wielka część rozbitków polskich przeszła granicę pruską pod Brodnicą. Do tych należeli nawet też pozostali owych walecznych tysiąc pułku czwartego. Ale nawet to przejście przez granicę nie obyło się bez ostatniego rozlewu krwi. Ale jak podaje spółczesny mieszkaniec Brodnicy, „już po zawarciu umowy, iż Polacy do Prus przejdą i tam broń złożą, wszczął się nagle ogień, stoczono dość zaciętą potyczkę pod Szczutowem, dopiero na interwencję głównodowodzącego wojskami pruskiemi jako zupełnie bezcelowa zaniechaną została" (ob. Romuald Łazęga, (pseudonim, pod którym kryje się b. prof. gimn. brodn. Chudziński). „Brodnica między rokiem 1819 a 1863". Szkic kulturalno-historyczny według opowiadania żyjącego jeszcze świadka skreślił... Roczniki Tow. Naukowego Toruń V, 1898 r. str. 68 mn.). Jeżeli chodzi o ilość wojska polskiego, które przekroczyło granicę pod Brodnicą, to według pamiętników gen. Brandta, dowódcy wojska pruskiego stacjonowanego nad granicą, kędy przejść mieli Polacy, przedstawiała się ona — jak podaje wspomniany co dopiero prof. Chudziński w rzeczonym artykule — następująco: 19357 szeregowych i podoficerów, 9 generałów, 89 oficerów sztabów i 416 niższych. Dział było 95, koni kawaleryjskich 5280, artyleryjskich 2565.

Nie możemy wreszcie pominąć wydarzenia, które nawet Mickiewicz umieścił w swej „Litanji Pielgrzymstwa Polskiego", modląc się: „Przez męczeństwo żołnierzy, pomordowanych w Fischan przez Prusaków—wybaw nas Panie". Fakt ten, to jeden z pierwszych krzyży w dobie polistopadowej, to jedna z pierwszych mogił przydrożnych na szlaku naszej Emigracji. Wypadek ten, w jądrze swojem na zawsze zpewnością otoczony pewną tajemnicą, znalazł różne echa i oświetlenia u dziejopisarzy. Polacy stosunkowo niedużo mu poświęcają miejsca, zbywając go kilkoma zwrotami, Niemcy natomiast nie szczędzili papieru ni atramentu, by okrzyczeć internowanych Polaków jako wyrodnych buntowników i burzycieli. Trzeba jednakże zaznaczyć, że także po stronie pruskiej były głosy przychylne Polakom i potępiają-

ce postępowanie władz wojskowych niemieckich. Przedewszystkiem poeta niem. Heine wyraził wielkie współczucie polskim bojownikom. Jego sąd o zbrodni fiszewskiej przytoczymy później.

Tymczasem przyjrzyjmy się, jak wygląda sprawa buntu Polaków w obozie w Fiszewie pod Elblągiem i zamordowania kilku z nich przez Prusaków, przedstawiona przez członka komisji sądowej nad zbadaniem zajść fiszewskich. W tej komisji jako tłumacz polsko-niemiecki brał udział Polak, Teodor Donimirski, referendarjusz przy sądzie w Kwidzynie. Otóż według p. Donimirskiego dochodzenia wykazały, że wśród mieszkańców Fiszewy panowało pewne podniecenie na skutek pogłosek, jakoby Polacy mieli zamiar spalić wioskę. Krwawy zaś zatarg wyniknął z tego, że gdy dowódca pruski zebrał internowanych i oznajmił im, że zostaną przeniesieni do innego miejsca, mianowicie do Nowego, uczynił to w języku niemieckim. I tu właśnie powstało nieporozumienie. Nowe bowiem, miasteczko nad Wisłą, nazywa się po niem. Nenenburg. Polacy zaś, słysząc Nenenburg zrozumieli Neidenburg czyli polskie Niborg nad granicą rosyjską. (Niekiedy wymawiano w niem. en jak ei, stąd owa pomyłka). Pod żadnym warunkiem zaś nie chcieli pójść do Niborga, bo obawiali się, że zostaną wydani Moskalom. A przecież, gdy opuścili kraj, przysięgali, że nie wrócą doń, jak tylko z bronią w ręku, że nie wrócą do ojczyzny, dopóki ta pozostawać będzie pod jarzmem cara i despotyzmu. Zatem wszczęli hałas, wymachując przytem laskami. Kiedy zaś jeden z poruczników pruskich, Polak, nazwiskiem Trembecki, wystąpił i wytłumaczył emigrantom pomyłkę, uspokoili się. Dalsze wypadki i ich przebieg otoczone są gęstą mgłą tajemnicy. Według jednych padł ze strony pruskiej zupełnie niespodzianie strzał, który nie zranił nikogo z powstańców, natomiast ugodził owego porucznika Trembeckiego, przemawiającego do Polaków. Inni znowuż podawają, że cały oddział pruski strzelił do internowanych, ci się jednakże szybko położyli na ziemię, a potem zerwali się i rozbroili Prusaków (ob. Prof. Dr. Łęgowski „Strzelanie do internowanych żołnierzy polskich w Fiszewie 1832 r." Mestwin 1926, Nr. 13). Tomasz Siemieradzki w „Porozbiorowych dziejach Polski" t. II str. 48 pisze o sprawie fiszewskiej tak: „W Fischan 28 stycznia 1832 przyszło do rozruchów; wojsko pruskie

strzelało do bezbronnych jeńców polskich, dziewięciu było zabitych i wielu rannych. Sąd wojenny skazał winnych oporu władzom pruskim na bicie kijami. W Gdańsku używano żołnierzy polskich do ciężkich robót fortecznych. Lecz energiczne wystąpienie gabinetów francuskiego i angielskiego położyło kres tym barbarzyństwom i w połowie roku 1832 wszyscy wojskowi polscy otrzymali pozwolenie udania się do Francji". Jako pierwszy powód nieporozumienia w Fiszewie uważa prof. Łęgowski rozmieszczenie większej ilości obcego (polskiego) wojska wśród ludności fiszewskiej, która bądź co bądź była, tak samo jak i dzisiaj jest narodowości niemieckiej. Zatem przedewszystkiem różnice językowe dały niejedną okazję do nieporozumienia czy nawet wykroczeń.

Po stronie niemieckiej wstawiła się za Polaków przedewszystkiem Augsburger Allgemeine Zeitung, a poeta niem. Henryk Heine pisze w tej sprawie m. i. tak:

„Die Polen! Das Blut zittert mir in den Adern, wenn ich das Wort niederschreibe, wenn ich daran denke, wie Preussen gegen diese edelsten Kinder des Unglücks gehandelt hat, wie feige, wie gemein, wie menchlezisch das Berliner Kabinett an Polen gehandelt hat. Der Geschichts-schreiber wird vor innerem Abschen keine Worte finden können, wenn er etwas erzählen role, was sich zu Fischan begeben hat; jene unchrlichen Heldenthaten wird vielmehr der Scharfrichter beschreiben müssen. Und der wird sich schon dazu finden, und ich höre schon das rote Eisen zwischen auf dem mageren Rücken des Berliner Kabinets". (Polacy! Krew trzęsie mi się w żyłach, gdy piszę to słowo, gdy myślę o tem, jak Prusy odnosiły się do tych najszlachetniejszych dzieci niedoli, z jakiem to tchórzostwem, z jaką brutalnością, jak podle postąpił sobie gabinet berliński względem Polski. Historyk ze samego obrzydzenia nie znajdzie słów, gdy przyjdzie mu opowiadać wydarzenia fiszewskie. Te niecne czyny bohaterskie będzie musiał opisać raczej kat. A ten się już znajdzie. Już słyszę, jak syczy krwawe żelazo na wynędzniałych plecach berlińskiego gabinetu"). (Cytuje Dr. Nierzwicki w artyk. „O zbrodni fiszewskiej" Mestwin 1926 № 19).

Szczęk powstańczych szabel 31 roku odbił się, jak widzimy, żywym echem także na Pomorzu. Kraina ta, która pogrążona była jakby w letargu i już powoli zaczęła ulegać wysiłkom

germanizacyjnym władz pruskich, nabrała z Nocy Listopadowej nowej mocy i energji do walki o prawa narodowe. Nie tylko łączono się duchem i ciałem z powstańcami, ale np. w kwietniu 1831 sejm pruski wniósł petycję, ażeby w gimnazjach w Toruniu i w Chełmie odtąd uwzględniać i język polski. Kiedy zaś w roku 1837 usunięto zupełnie język polski tak ze szkół, jak i z kościoła, wtedy powstały owe rozliczne tajne polskie związki wśród uczniów gimnazjalnych, t. zw. filomaci pomorscy, organizujący się na wzór filomatów wileńskich. (Ob. Sobieski l. c. str. 179). (Filomatom pomorskim poświęciliśmy swego czasu osobny artykuł — Pro Christo, kwiecień 1927). I to powstanie filomacji pomorskiej uważamy jeszcze jako ostatnie echo powstania listopadowego, boć lwią zasługę w porwaniu młodzieży pomorskiej do sprawy narodowej odnosi paryskie „Towarzystwo Demokratyczne“, jak o tem świadczą akta procesu Mierosławskiego z roku 1846/47 (ob. Anklage—Schrift des Statsanwalts bei dem Königl. Kammergericht gegen die bei dem Unterchmen zur Wiederherstellunge ines polnischen Staats in den Grenzen desselben vor dem Jahre 1772, Betheiligten: wegen Hochverraths.—Rozdział I.). Późniejsze odruchy narodowe to tylko dalsze ogniwa w owym łańcuchu dowodów polskości Pomorza.

Jak walczyli Kaszubi z Sobieskim pod Wiedniem, tak i w okresie rozbiorów i niewoli widzimy Pomorzan w szeregach powstańców Kościuszkowskich, listopadowych i styczniowych. Nie tylko to, ale na Pomorzu odbił się żywym echem każdy odruch myśli narodowej w Księstwie. Pomorze zawsze dzieliło dolę i niedolę całej Polski, jakżeśmy to widzieli choćby pobieżnie na przykładzie powstania listopadowego. A ziemia, która tak bardzo duchowo złączona jest z polską myślą narodową, czego świadkiem historja, nie może nigdy być przedmiotem targów politycznych, jak tego pragnie zachłanność i nienawiść Niemców, o których nawet ich książę-poeta Goethe tak się wyraził: „My Niemcy jesteśmy takim narodem, który zawsze musi kogoś nienawidzić“.

A. F. K.

Dlaczego nie doszło do jednej listy katolickiej?*

Pytanie to interesuje bardzo katolicką opinję publiczną ze względów zupełnie zrozumiałych. Jest kwestją bezsporną, że w obecnej, ciężkiej sytuacji wewnętrzno-politycznej byłoby rzeczą ze wszech miar wskazaną i pożądaną, aby głosy katolików nie rozpraszały się, lecz mogły skupić na jednej liście wyborczej. I nawet poszczególne podziały sfery wpływów między rywalizującymi listami katolików, bardzo zresztą pożądane, nie zastąpią jednakże tego, co dałby jednolity na całe państwo blok wszystkich ugrupowań, stojących na platformie katolickiej.

Należy więc zapytać, dlaczego do tego nie doszło i odważnie udzielić odpowiedzi, choćbyśmy mieli przez to narazić się tym, lub owym. Opinja katolicka ma prawo wiedzieć, kto wziął na swoją odpowiedzialność rozbicie głosów katolickich.

Sprawa jest o tyle ułatwiona, że istotny sprawca rozbicia nie usiłuje ukryć swojej winy, a nawet uważa swoje posunięcie za zupełnie słuszne i usprawiedliwione. Jeżeli przejrzymy uważnie organ naczelny Stronnictwa Narodowego „Gazetę Warszawską" z ostatnich tygodni, przekonamy się, że z pośród dwóch ugrupowań, stojących oficjalnie na gruncie zasad katolickich (Stronnictwo Narodowe i Chrześcijańska Demokracja) Stronnictwo Narodowe podjęło pierwsze uchwałę pójścia do wyborów samodzielnie i nie łączenia się z innymi organizacjami, że prasa narodowo-demokratyczna, uzasadniając powyższą uchwałę interesami „obozu narodowego", niejednokrotnie wyrażała się w sposób lekceważący o innych ugrupowaniach, których katolickość nie może ulegać zakwestjonowaniu, że wreszcie sam szyld, pod którym Stronnictwo Narodowe idzie do wyborów wskazuje, iż w sferach kierowniczych tego stronnictwa uznano za stosowne przełożyć hasła „narodowe", nad użyte w poprzednich wyborach hasło ogólno-katolickie, przyczem nie zrezygnowano jednakże z apelowania podczas wyborów o poparcie do uczuć katolickich ludności.

---

*) Artykuł dyskusyjny.

Co więcej. Jest publiczną tajemnicą, że wybitny przedstawiciel Stronnictwa Narodowego w rozmowie z wybitnym przedstawicielem Chrześcijańskiej Demokrakcji wypowiedział niejako walkę ruchowi chrześcijańsko - społecznemu, oświadczając bez ogródek, *że z dwóch powyższych stronnictw, o jedno jest za dużo w Polsce.* Stanowisko, to ujęte w formie tak drastycznej musimy uważać za właściwy powód pójścia Stronnictwa Narodowego samodzielnie do wyborów. Motywem tej decyzji były doraźne i aktualne interesy tego stronnictwa, pojęte w sposób dość wąski i ekskluzywny. Idea walki z Chrześcijańską Demokracją, podyktowana dążeniem do monopolizacji haseł katolickich i narodowych w rękach Narodowej Demokracji przysłoniła kierownikom tego stronnictwa objektywny pogląd na interesy religji i Kościoła.

Oto powód, dla którego nie mogło dojść do bloku wyżej wymienionych dwóch stronnictw, powód, zaiste, nie wystarczający i niedostateczny dla objektywnej opinji katolickiej. Każdy oświecony katolik musi nad tem ubolewać, a jednocześnie uświadomić sobie aktualne obecnie różnice zachodzące między Str. Narodowym a Chrześcijańską Demokracją.

Różnice te są poważne. Chrześcijańska Demokracja jest ruchem młodym jeszcze i niezupełnie rozwiniętym, ale opartym integralnie na zasadach katolickich i mającym duże szanse rozwoju w przyszłości w miarę, jak nieśmiertelna idea sprawiedliwości społecznej, sprecyzowana przez Ojca św. Leona XIII-go w Encyklice Rerum Novarum będzie uzyskiwała prawo obywatelstwa w umysłach inteligencji polskiej. Ruch chrześcijańsko-społeczny, będący emanacją oficjalnych poglądów Kościoła, rozwinięty bujnie w starszych cywilizacyjnie społeczeństwach, w Polsce znajduje się dopiero w pierwszej fazie swego rozwoju.

Narodowa Demokracja natomiast istnieje w Polsce już przeszło 40 lat i przechodziła rozmaite fazy, od pozytywizmu, poprzez skrajny nacjonalizm, aż wreszcie w r. 1928 po potępieniu przez Stolicę Apostolską L'Action Française, zdecydowała się ogłosić oficjalnie program katolicki, ograniczając go do konkordatu, rodziny i szkoły, za wyłączeniem zagadnień społecznych. W metodach swoich Nar. Dem. odznaczała się zawsze wielkim ekskluzywizmem i egoizmem partyjnym, który

pchnął ją wreszcie do wydania bezwzględnej walki Chrz. Demokracji w momencie tak nieodpowiednim ze względu na katolicyzm w Polsce.

Przez ogłoszenie programu katolickiego w r. 1928 Nar. Demokracja zbliżyła się teoretycznie do ruchu chrześc.-społecznego, ale nie pod względem społeczno-ekonomicznym. W tej dziedzinie pozostały wybitne różnice między dwoma ruchami, gdyż N. D. hołduje nadal zasadom liberalno-ekonomicznym, i organizuje w swoich szeregach inteligencję rozpatrującą kwestję społeczną z punktu widzenia interesów kapitału, podczas gdy Ch. D. pozostała wierna programowi sprawiedliwości społecznej i skupia inteligencję, dążącą do przeprowadzenia reform społecznych i współpracy z masami ludowymi na platformie zasad katolickich.

Ta ostatnia okoliczność jest bodaj najważniejsza. Wielokrotnie już podkreślaliśmy, że najcięższym brakiem powodującym głównie słabość ruchu katolickiego w Polsce jest zupełne prawie oderwanie się inteligencji od ludu pracującego fizycznie — chłopów i robotników. Źródłem tego oderwania, tego przegrodzenia chińskim murem wzajemnych uprzedzeń i nieznajomości swych dążeń i potrzeb—jest obojętność inteligencji wobec kwestji społecznych i teoretyczne często nastawienie jej działalności publicznej, które sprawia, że dla większości naszych działaczy starego typu wystarczy zupełnie głoszenie haseł narodowych bez głębszego wejrzenia w interesy i potrzeby poszczególnych warstw tego narodu! Z tego właśnie powodu warstwy pracujące dostają się pod wpływy radykałów i wrogów Kościoła.

Organizacja, która dąży do skupienia wspólnego inteligencji i ludu nad jednym warsztatem pracy narodowej i społecznej, do zasypania przepaści istniejącej dotychczas między tymi warstwami i przeprowadzenia reform zgodnie z zasadami sprawiedliwości społecznej według nauki Kościoła, jest w Polsce potrzebna i konieczna. Rozwój jej jest zgodny z potrzebami i interesami społeczeństwa, a zasady katolicyzmu społecznego, które reprezentuje — jedynie słuszne i prowadzące do rozwoju i potęgi narodu.

Można do tej organizacji nie należeć, jeżeli kto nie chce, można krytykować niektóre jej metody, gdyż nie ma ugrupo-

wania któreby wcale nie popełniało błędów, lecz zwalczanie jej bezwzględne z zamiarem zniszczenia i zlikwidowania jest ciężkim błędem politycznym i grzechem przeciwko narodowi oraz zasadom sprawiedliwości chrześcijańskiej. Jeżeli tego rodzaju metoda podyktowana została interesami partyjnymi, to ubolewać tylko należy, że szczytne hasła narodowe są nadużywane dla przykrywania tego rodzaju metod niszczycielskich i szkodliwych.

Na szczęście życie jest silniejsze od fałszywych pomysłów i namiętności poszczególnych jednostek. Ruch chrześcijańsko-społeczny opiera się w Polsce na korzeniach silnych i próba jego likwidacji przyniesie raczej wstyd sprawcom, aniżeli szkodę temu ruchowi. Nie można jednak nie podkreślić, że tego rodzaju próby ze strony Stronnictwa Narodowego, mianującego się katolickim działania na szkodę ruchu chrześcijańsko-społecznego, nie przyczyniają się do polepszenia sytuacji ruchu katolickiego, przeciwnie rozszerzają zamęt i walkę w samym obozie katolickim i stawiają wyborców—katolików w trudnym położeniu, nie mówiąc już o tem, że przez warstwę robotniczą nie będą inaczej zrozumiane i ocenione, jak walka pewnej części inteligencji i warstw posiadających katolickich z zasadami Ojca św. Leona XIII — w celu kontynuowania wyzysku w sferze życia gospodarczego! Nie potrzebujemy zaś chyba nikogo przekonywać, że rozszerzanie się tego rodzaju pojęć i komentarzy nie leży w interesie Kościoła, ani społeczeństwa.

Uwagi powyższe, wyjaśniające sytuację i ustalające odpowiedzialność za rozbicie w obozie katolickim — uważaliśmy za swój obowiązek podać do wiadomości naszych czytelników, właśnie, jako pismo ogólno katolickie, stojące ponad partjami.

Trzeba skończyć z niedomówieniami. Niech inteligencja katolicka wie, co się u nas dzieje. Życie publiczne Polski nie może być dżunglą, w której Stronnictwo Narodowe urządza cichaczem polowanie na Chrześcijańską Demokrację, głosząc równocześnie nazewnątrz hasła: miłości, sprawiedliwości i konsolidacji narodowej...

S. J. K.

Nad czem pracują pisarze katoliccy?

Kiedy mówi się o piśmiennictwie współczesnem, ma się zazwyczaj na myśli pisarży, zgrupowanych dookoła jakichś pism literackich, dzienników, względnie innych perjodyków, automatycznie natomiast zapomina się o ludziach, piszących w duchu katolickim. Tak się naprawdę dziwnie jakoś utarło, że pisarzy katolickich, choćby pisali o niebo lepiej od przeciętnych pisarczyków, tylko na tematy religijne, pomija się zupełnem milczeniem, gdy tymczasem owym „świeckim" miernotom przeznacza nieraz miejsca bardzo dużo. T. zw. krytyka utworom wybitnie katolickim, o ile nie należą do literatury pięknej, poświęca zrzadka zaledwie drobną notatkę bibljograficzną, a najczęściej nie wspomina o nich ani półsłówkiem. Kazania, nawet najpiękniejsze, rozmyślania, sceniczne utwory religijne, popularna belletrystyka w duchu katolickim (z nielicznemi wyjątkami), żywoty nie bywają omawiane prawie wcale, acz z rzeczowej krytyki autorzy ich mogliby skorzystać bardzo wiele. Pisma obojętne przemilczają ukazywanie się wydawnictw katolickich, prasa katolicka zbywa to przeważnie wzmiankami ze stereotypowemi komplementami, zwykłym zaś losem pisarzy katolickich jest ta ewentualność, że o świeżo wydanych pracach ich, o ich pracach w przygotowaniu, o ich zamiarach nie wie się nic a nic. A jednak ludzie ci tworzą, piszą i to rzeczy, nieraz dla tych czy innych powodów cenne, na które sumienny badacz dziejów naszej literatury będzie musiał zwrócić kiedyś uwagę. Nie mówimy, by zaszczyt ten spotkał wiele utworów, ale takie będą niezawodnie. Narazie jednak trudno przeprowadzić rozgraniczenie, warto zatem zapoznać się nawet z najdrobniejszemi zamierzeniami naszych pisarzy katolickich.

Zamierzając zbierać wynurzenia ich na ten temat, mamy to przeświadczenie, że korzyść z ogłaszania ich będzie dwojaka: dla szerokich sfer czytelników i dla pisarzy. Czytelnicy dowiedzą się, jakie prace ukażą się w najbliższej przyszłości, będą upominać się o nie oraz dopytywać w księgarniach, przez co może podniesie się poziom czytelnictwa katolickiego. Ponadto śmiemy przypuszczać, że korzyść z tego odniosą także sami piszący. Wiedząc, nad czem pracują inni autorzy, nie będą opracowywać tych samych tematów lub opracowywać je będą

w innem ujęciu, dzięki czemu nie będzie marnować się daremnie ciężkich nieraz wysiłków.

Wypowiedzenia o planach i zamiarach pisarzy katolickich będziemy starali się zgromadzić z całej Polski, by nie zasłużyć na miano zaściankowców. Już dziś na pierwszy ogień dajemy odpowiedzi, udzielone nam przez osoby, przebywające stale w trzech całkiem różnych okolicach naszego kraju: na Wołyniu, w stolicy i w Małopolsce.

P. Alicja Byszewska, reprezentująca środowisko wołyńskie,— to w pierwszym rzędzie niezwykle aktywna działaczka katolicka, która ze swemi odczytami zjeździła z połowę Polski. Praca publicystyczna dla niej jest raczej marginesem działalności w charakterze prelegentki. Drobne jej utwory zamieszczały przeróżne dzienniki oraz czasopisma warszawskie. W postaci osobnych wydawnictw ukazały się dwie broszury: „Św. Teresa od Dzieciątka Jezus“ i „Śladami Chrystusa“. Ta ostatnia jest krótkim, bezpretensjonalnym opisem pierwszej narodowej pielgrzymki do Ziemi św.

Druga z pisarek, która łaskawie raczyła udzielić nam wiadomości o swoich pracach, posiada po wielekroć większy dorobek pisarski. P. Wanda Grochowska pierwsze prace swe ogłosiła jeszcze trzydzieści lat temu. Najbardziej znaną powieścią jej jest „Dwór i chata“. Rzecz ta, licząc przedruki po pismach, miała dotąd pięć wydań. Od dwudziestu zgórą lat autorka ta prowadzi warszawski tygodnik ludowy, „Posiew“, który w rocznikach swoich kryje tysiące utworów jej pióra, jako to nowel, wierszy, artykułów. Wydawnictwa osobne jej liczą przeszło trzydzieści pozycyj. Przez parę lat oprócz tego redagowała tygodnik dla dzieci, „Anioł-Stróż“. W sferach czytelników ludowych, zwłaszcza w Lubelszczyźnie, pseudonim autorki: Wieśniaczka z nad Wisły, jest znany szeroko i cieszy się tam ona zasłużonem uznaniem. Za zadanie swoje uważa p. Grochowska dostarczanie rzeszom wieśniaków zdrowej, pożytecznej lektury, ubranej w szatę łatwej do czytania powieści.

Jeśli chodzi o siostrę Marję Augustynę, Norbertankę, to ta zajmuje się szerzeniem czci chwalebnej współsiostry ze swego zakonu, bł. Bronisławy, i pisze tylko o niej. Ona to czyni z ramienia konwentu norbertańskiego gorliwe wysiłki, by przez roz-

szerzenie czci błogosławionej Polki przyczynić się do jej kanonizacji.

P. Alicja Byszewska (Łuck):

Napisałam i gotowe jest do druku „Św. Stanisław Kostka", życie jego; „Stań się codzień lepszą!" dla dziewcząt ze Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej; „Msza św.", broszurka dla ludu. Chciałabym napisać „O nabożeństwie do Serca Jezusowego". Mam w projekcie „Ks. Skorupkę, wzór dla młodzieży". Rzeczy te myślę wydawać w Łucku. Projektowane jest też drugie wydanie mej „Św. Teresy od Dzieciątka Jezus", bo pierwsze wydanie w wysokości dziesięciu tysięcy egzemplarzy jest już na wyczerpaniu.

P. Wanda Grochowska (Warszawa):

Świeżo wyszły z druku dwie moje prace: trzecie wydanie broszury p. t. „Święte prawa, święte obowiązki", traktującej o powinnościach małżonków i rodziców, i jasełka dla starszej młodzieży p. t. „Święta noc". Obecnie jest w druku drugie wydanie powieści p. t. „Tajemnica wiejskiej chaty", a lada dzień rozpocznie się druk trzeciego wydania powieści p.t. „Wójtówna". Drugie wydanie jej rozeszło się w ciągu niespełna półtora roku. W projekcie jest nowa powieść p. t. „Amerykanka", ale, co kiedy z tego będzie, niewiadomo. Są jeszcze inne rzeczy w napięciu, jednak praca publicystyczna i redakcyjna nie zezwala na zrealizowanie tych planów. Chciałabym np. wydać zbiorek piosenek, które kiedyś rozchwytywali, czytali i śpiewali czytelnicy „Posiewu". Były tam wesołe, pogodne piosenki dla każdego stanu, rzemiosła, zawodu, dla dziewcząt i młodzieńców. Narazie utonęło to w piśmie, a teraz myślę te piosenki pozbierać i wydać w książeczce, tylko wszystko odwleka się przez brak czasu.

Siostra Marja Augustyna, Norbertanka (Kraków):

Mam zamiar napisać żywot bł. Bronisławy „Lilja Premonstratu" dla młodzieży i żywot popularny bł. Bronisławy w świetle jej świętości.

J. M. Ch.

Na froncie walki o moralność i kulturę życia publicznego.

List pasterski Ks. Biskupa Łozińskiego.—Każdy katolik obowiązany wziąć udział w głosowaniu. — Książę Kościoła w obronie praw obywatelskich. -- Janusowe oblicze „Sanacji" w stosunku do Kościoła. — Zachwianie się moralne Stronnictwa Narodowego. —Dwutorowość ideowa.

Szerokim echem po kraju rozszedł się list pasterski ks. Biskupa Łozińskiego, poświęcony zbliżającym się wyborom. Na samym wstępie znajdujemy uzasadnienie, dlaczego każdy katolik obowiązany jest wziąć udział w głosowaniu.

„Okres przedwyborczy jest zawsze bardzo przykry. Jest to okres walki, wzrastających niechęci, wybuchającej nieraz nienawiści. Człowiek spokojny, który woli pracować niż krzyczeć, ma pokusę odsunięcia się od tych wszystkich kłótni i sporów i machnięcia ręką na wszelkie wybory.

Ale tego uczynić nie wolno. Głosowanie jest obowiązkiem obywatelskim. Sejm i Senat są Izbami prawodawczemi: obmyślają i układają prawa. Chcemy wszyscy, aby te prawa były mądre i sprawiedliwe. Nie może nam więc być obojętnem, kto będzie prawa stanowił. Kto się wstrzymuje od głosu, ten nie pomaga do wybrania dobrych posłów i nie przeszkadza wybraniu złych i za to jest odpowiedzialny.

Rzecz oczywista, że jeszcze bardziej odpowiedzialny jest ten, kto głosuje na posłów złych. Taki bierze na siebie część winy za wszystko złe, którego się ci posłowie potem dopuszczają.

A więc: 1-e trzeba głosować, 2-e trzeba głosować na posłów dobrych".

W dalszym ciągu Czcigodny Autor wykazuje, że mądre i dobre prawa mogą być stanowione tylko przez ludzi uznających prawo Boże i według niego postępujących. Należy więc głosować na dobrych i konsekwentnych katolików i takich tylko wolno katolikom stawiać na listach do Sejmu i Senatu. List pasterski kładzie duży nacisk na odpowiedzialność tych, którzy układają listy wyborcze. Charakterystyczne jest zakończenie tego dokumentu na czasie:

„Zwracam się wreszcie do tych kochanych moich diecezjan, którzy zajmują te lub inne stanowiska w urzędach i administracji państwowej.

Czy mam powtarzać, że mają oni wszyscy ścisły obowiązek głosować podług swego katolickiego sumienia, nie podług życzenia lub wskazówek myślących inaczej swoich zwierzchników? Cóż to za urzędnik, który dba przedewszystkiem nie o dobro państwa, o dobro ojczyzny, ale o względy

takiegoż jak on, tylko chwilowo wyżej od siebie stojącego urzędnika, który zresztą może być nazajutrz po wyborach pozbawiony wszelkiej władzy i powagi? „Fortuna kołem się toczy"!...

Ale już ci ciężko wykraczają tak przeciw podstawowym prawom Polski, jak przeciw chrześcijańskiej moralności, także zwierzchnicy, nadużywający swej siły dla zastraszenia osób podległych i dla zmuszenia ich, aby głosowały nie podług sumienia, ale według ich widzimisię lub według otrzymanych skądkolwiek bezprawnych nakazów.

Takie postępowanie kompromituje Rząd polski. Rządu jest rzeczą dbać w czasie odpowiednim o racjonalną ordynację wyborczą, podzielić państwo na okręgi i przestrzegać porządku i swobody wyborów. Gdzie wybory swobodne mają być szkodliwe, tam nie należy do nich dopuszczać. Jeśli są, muszą być swobodne. Ogłaszanie wyborów i krępowanie wyborców, albo wprowadzanie różnych sztuczek, tembardziej gwałtów (choćby tylko moralnych) dla sfałszowania głosu społeczeństwa jest małoduszną komedją, niezgodną z powagą państwa. Polityka, oparta na fałszu lub nadużywaniu siły, nie przynosi nigdy owoców pożytecznych i trwałych.

Dla uniknięcia właśnie wszelkich fałszów i obłudy, dla zapewnienia swobody głosowania podług sumienia, głosowanie odbywa się tajnie. Wszyscy prawidła tego przestrzegać powinni. Ale i przy pracy przygotowawczej, w czasie przedwyborczym, urzędy, zwłaszcza administracyjne, powinny postępować nader oględnie, aby nie wykroczyć przeciw swym obowiązkom.

Nie chciejcie, moi Synowie, przez nieroztropne nadużywanie swej powagi, narażać się na to, aby was pomawiano, że będąc stróżami prawa i porządku, sami wykraczacie przeciw prawu i łamiecie porządek; nie chciejcie ściągać na Rząd, którego wysłannikami i wobec ludu przedstawicielami jesteście, zarzutów obniżenia powagi naszej Ojczyzny i kochania więcej swych stanowisk, niż dobra narodu całego".

Niestety, światłe i rozsądne słowa Autora nie trafiły do serc i sumień tych, do których były skierowane. Wypadki następnych tygodni wykazały, że metoda nadużywania „swej siły dla zastraszenia osób podległych" i dla zmuszenia ich, aby głosowały nie według sumienia, ale według... „otrzymanych skądkolwiek bezprawnych nakazów" święci całkowite triumfy i wydaje już fatalne rezultaty w postaci rozpalenia do białości walk i antagonizmów politycznych, a nawet krwawych porachunków i zaburzeń. Metoda ta stosowana jest zresztą nietylko wobec urzędnidników, lecz również zapomocą najrozmaitszych sposobów bezprawnego nacisku—wobec wszystkich wyborców, wywołując tem większe rozgoryczenie i zniechęcenie. Tymbardziej więc godną podkreślenia i zapamiętania jest to wspaniałomyślne wystąpienie Księcia Kościoła w obronie praw demokratycznych obywateli Rzeczypospolitej, praw opartych na zasadach sprawiedliwości.

Podwójna miara stosowana w sposób tak jaskrawy wobec obywateli zależnie od tego, czy są zwolennikami, czy przeciwnikami „sanacji“—obrzydła już gruntownie wszystkim za wyjątkiem garstki zainteresowanych, lub zasugestjonowanych. Wierzymy, że społeczeństwo polskie nie da się zastraszyć ludziom niegodnym, a chciwym władzy za wszelką cenę i w dniach 16 oraz 23 listopada wyda wyraźny i jasny wyrok potępiania dla metod dotychczasowych.

* * *

W ostatnich czasach pisma „sanacyjne“ podkreślają bardzo często katolickość swego obozu. Ba, na niektórych listach sanacyjnych nawet będą kandydować nieliczni wprawdzie przedstawiciele duchowieństwa.

W imię prawdy stwierdzić należy, że najwyższe czynniki sanacyjne nie występują oficjalnie przeciwko podstawowym prawom Kościoła, a nawet w ostatnich czasach w związku ze zbliżającemi się wyborami poczynione zostały liczne kroki celem pozyskania duchowieństwa i opinji katolickiej, jak np. hipoteczne zabezpieczenie majątków kościelnych, okólnik ministerjalny w sprawie przepisów, zwalczających niemoralność i t. d. Nie wyczerpuje to jednak zagadnienia, które jest znacznie rozleglejsze. Jaskrawe fakty stwierdzają raz po raz, że poszczególni dygnitarze sanacyjni, a jest ich znaczna liczba, nietylko prowadzą działalność antyreligiiną, lecz nawet nie potrafią poskromić swego temperamentu i powstrzymać się od jaskrawych wystąpień na forum zewnętrznym. Oto np. wypadek z delegatem kuratorjum lubelskiego, który według informacji szeregu pism dopuścił się bluźnierstwa na zebraniu publicznem. Okolicznością nadzwyczaj obciążającą jest fakt, że ajencja „Iskra” bierze w obronę p. kuratora, co oświetla „Rzeczpospolita“ w jednym z ostatnich numerów jak następuje:

Agencja „Iskra” podała w dniu wczorajszym następującą wiadomość:

W związku z notatką, zamieszczoną w № 279 „Polski”, „Polaka-Katolika” i „Rzeczypospolitej” z dnia 11 października b. r., p. t. „Bluźnierstwa Delegata Kuratorjum Lubelskiego”, dowiadujemy się, że urząd prokuratorski, na skutek skargi dr. Barchana, naczelnika wydziału ogólnego w kuratorjum lubelskiem, — wszczął przeciwko redaktorowi odpowiedzialnemu tych gazet postępowanie karne z art. 533 w związku z art. 532 cz. I, punkt. 3 Kodeksu Karnego (o zniesławienie osoby urzędowej w druku).

Wręcz co innego mówi pismo Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z dnia 13 października r. b. nr. I S. 70/207/30, które redakcja naszego pisma otrzymała w dniu dzisiejszym:

Pismo to brzmi:

W związku z notatką, zamieszczoną w nr. 279 „Polski", „Polaka-Katolika" i „Rzeczypospolitej" z dnia 11 października b. r., p. t. „Bluźnierstwo delegata Kuratorjum Lubelskiego", Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego komunikuje, że, przychylając się do prośby p. dr. Barchana, naczelnika Wydziału Ogólnego Kuratorjum Lubelskiego, zezwoliło mu wystąpić na drogę sądową ze skargą o zniesławienie.

Wobec tego sprawa podniesionych przez redakcję „Polski", „Rzeczypospolitej" i „Polaka-Katolika" zarzutów będzie wyświetlona w drodze postępowania sądowego.

Podpisano: Naczelnik Wydziału B. Kielski.

Zestawienie przytoczonego pisma urzędowego z notatką wymienionej agencji stwierdza, że „Iskra", która od chwili wyłonienia się sprawy bluźnierstwa dr. Barchana, zajmowała w tej kwestji stanowisko stronnicze, pozwoliła sobie i w tym wypadku na daleko idącą tendencyjność.

Według „Iskry" urząd prokuratorski wszczął postępowanie karne przeciwko naszemu pismu z powodu zniesławienia osoby urzędowej w druku, tymczasem pismo Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego podaje najwyraźniej, że Min., uwzględniając prośbę dr. Barchana, zezwoliło mu wystąpić na drogę sądową ze skargą o zniesławienie.

Oskarżenie dr. Barchana posiada więc charakter prywatny, a nie urzędowy.

Wiadomą jest ponadto rzeczą, że w sprawach tego rodzaju, jak właśnie ta, o której piszemy, bywają zezwolenia, które są nakazem.

Oczekujemy z niecierpliwością wytoczenia nam sprawy i żywimy jedynie obawę, że sprawa dr. Barchana contra naszemu pismu, będzie należeć do tych, które nigdy nie znajdą się na stole rozpraw sądowych.

Ponad 60-ciu zaprzysiężonych, wobec duchownego katolickiego, świadków — oczekuje wraz z nami dnia rozprawy, aby raz jeszcze stwierdzić zbrodnię bluźnierstwa popełnioną przez dr. Barchana.

Galopując w obronie bluźniercy „Iskra" złą oddaje przysługę czynnikom oficjalnym, które, jak dowodzi przytoczone przez nas pismo Ministerstwa, zmierzają do wyjaśnienia sprawy.

Tymczasem przeinaczenia „Iskry" mogą jedynie wpoić w społeczeństwo przekonanie, że rząd traktuje sprawę dr. Barchana tendencyjnie.

Z ogromnem zainteresowaniem oczekiwać będziemy tego procesu. Wszyscy pamiętamy, z jak wielką szybkością działały władze sądowe w Lublinie, gdy premjer Piłsudski został obrażony przez b. posłankę Kosmowską, proces odbył się w ciągu kilku dni. Obecnie został obrażony Pan Bóg!

Na temat stosunku B.B. do religji i Kościoła ciekawy artykuł ogłosił „Głos Narodu":

„Gdzież to i kiedy BB. ogłosił jakiś program, z któregoby można się było dowiedzieć, czego chce w dziedzinie życia religijnego?

Przechodzimy w myśli wszystkie sesje rozwiązanego parlamentu i nie znajdujemy jednego zbiorowego wystąpienia klubu BB. w duchu katolickim, gdy szło o sprawy religijne. Spotykamy się natomiast z oceną, której chyba nie zapomnieli katolicy polscy. Oto, gdy w czerwcu 1928 roku na porządku dziennym stanęła sprawa religijnego wychowania młodzieży i okólnika p Bartla, wówczas większość klubu BB. oświadczyła się przeciw okólnikowi i wniosek o uchylenie okólnika przeszedł dzięki poparciu BB... Na osobną wzmiankę zasługuje próba antykatolickiej hecy, podjęta w Senacie przez sen. Everta (BB), napiętnowana z miejsca przez organ Episkopatu, Katol Ajencję Prasową.

Jak się zaś minister Oświaty ze swoich zadań wywiązał, niech świadczy protest Episkopatu z lutego 1929 roku przeciw szeregowi jego zarządzeń. Z innych działań rządu należy tu: faktyczne równouprawnienie sekty Hodura w grudniu 1926 r. z katolicyzmem, przedziwna tolerancja, okazywana stale, do ostatnich czasów sekcie marjawickiej, stosunek do zobowiązań rządowych, zaciągniętych przez konkordat i t. p....

Jeszcze mniej gwarancji daje skład personalny BB.:

...Na liście państwowej BB do Sejmu znajdują się następujące nazwiska, które muszą szczególnie interesować katolików: Hołówko, Moraczewska i Smulikowski, socjaliści, — Mincberg, Wiślicki i Minkowski, żydzi. A co do protestantów, to ktoby ich policzył! Bardzo wielu członków ostatniego rządu i „gros" t. zw. pułkowników do ewangelickiego lub kalwińskiego wyznania należy. Katolicy stanowią nieliczną grupę. Sensacyjnych szczegółów dowiemy się dopiero po akcie wyborów ze statystyki sejmowej.

Nielepszą jest lista państwowa BB. do Senatu... Uderzają nas tu następujące nazwiska: Bobrowski (socjalista), który wraz z małżonką od lat prowadzi socjalistyczny „Związek Przyjaciół Dzieci", znany w Krakowie choćby z kolportażu niemoralnego i rewolucyjnego swojego wydawnictwa p. t. „Lutnia robotnicza" — Stan. Nowak, prezes „Zw. Naucz. Szkół Powszechnych", który dopiero przed paru tygodniami na upomnienie Episkopatu odpowiedział pogróżką, — wspomniany już p. Ewert, — tacy katolicy, jak Uszer Mendelsohn, jak Pinonoff, prezes „staroobrzędowców" i in....

Rozmnożyło się w Polsce pokolenie tchórzów katolickich, którzy z obawy (po największej części dobrze udanej) przed lewicą, zwołują katolików do obozu sanacji, obiecując jakie takie „poszanowanie praw Kościoła". Sanacja—przyznają—nie jest „święta"; ale już trochę lepsza od lewicy...

Prowadzą w ten sposób katolicyzm na drogę do katastofy. Wiedzą bowiem dobrze, że sanacja jest ugrupowaniem areligijnem, akatolickiem, i że, jeśli braknie p. Piłsudskiego, to się rozpryśnie, a znaczna część tych rozbitków zasili właśnię lewicę, żeby potem uderzyć na wczorajszych swoich katolickich towarzyszy... Nie przez takie fałszywe gry i nie przez taki oportunizm tworzyły się katolickie organizacje zachodnich społeczeństw".

Przykra prawda, ale prawda.

* * *

Nas katolików najbardziej interesują posunięcia stronnictw występujących z programem katolickim. Dlatego w ostatnim numerze pisaliśmy o motywach wystąpienia Chrześcijańskiej Demokracji z Centrolewu, dlatego i obecnie zajmiemy czytelników sprawą niedoszłego do skutku Bloku Stronnictwa Narodowego z Centrolewem w Małopolsce Wschodniej.

Blok ten został już zawarty przez władze miejscowe zainteresowanych stronnictw i wówczas spotkał się z bardzo krytycznym przyjęciem ze strony prasy katolickiej. Np. „Polska" w numerze z dnia 25 września pisze o nim, co następuje:

Sojusz wyborczy Stronictwa Narodowego z Centrolewem na terenie Małopolski Wschodniej zaskoczył opinję publiczną i wywołał bardzo żywe echa w kołach politycznych.

Istotnie, nie tak dawno jeszcze odmówiło Stronnictwo Narodowe współpracy wyborczej z Chrześcijańską Demokracją, podkreślając swoją wolę zachowania pełnej samodzielności i odrębności, a tu naraz przychodzi do skutku sojusz z Centrolewem,—bez Ch. Demokracji! W tych warunkach porozumienie małopolskie, które nie objęło Ch. D. i obozu rządowego, nie może być uważane za próbę pożądanej koncentracji narodowej o charakterze ogólnym, lecz stanowi raczej czysty sojusz polityczny.

Ale w takim razie podpada też ono pod inne kryterja oceny. Bloki czy porozumienia ogólno-narodowe, realizujące wyższe racje interesu narododowego czy państwowego, uprawniają do bardziej tolerancyjnego traktowania sprzeczności ideowych wśród elementów współdziałających: nikt np. nie kwestjonował koalicji rządowej 1920 r., w której obok socjalistów zasiadali narodowcy, piastowcy obok wyzwoleńców i t. d. Skoro jednak koncentracja świadomie omija pewne elementy polskie, a łączy inne—tak jaskrawo sprzeczne, jak to ma właśnie miejsce w pakcie małopolskim—wówczas trudno na te sprzeczności zamykać oczy i trudno rozgrzeszać inicjatywę, która nosi wszelkie cechy niemoralnego kompromisu taktyczno-politycznego.

Blok wyborczy małopolski obejmować będzie Stronnictwo Narodowe, Piasta, NPR., (na tych terenach — fikcja), Stronnictwo Chłopskie, Wyzwolenie i PPS.

Socjaliści, jak wiadomo, są zwolennikami szerokiej autonomji terytorjalnej dla Małopolski, z sejmem prowincjonalnym we Lwowie z rządem „krajowym" i t. d., gdy Stronnictwo Narodowe wyznaje program ścisłej unifikacji a niektórzy jego politycy (np. St. Grabski), idą dość daleko w projektach osaczania rusinów. Jaka myśl wspólna, jaka idea łączy te dwa elementy w prawach małopolskich? Ogień i woda mniej są sprzeczne, niż te dwa obozy, które... zawarły pakt wyborczy. To samo—mutatis mutandis—odnosi się do Stronnictwa Chłopskiego i do Wyzwolenia.

Ale różnice są także w innych dziedzinach. Z motywów, które skłoniły Ch. Demokrację do heroicznej zaiste decyzji opuszczenia szeregów Cen-

trolewu, wiadomo, że atmosfera ideowo-polityczna w Centrolewie wykluczała współpracę z nimi stronnictwa o programie chrześcijańskim i narodowym. Stronnictwo Narodowe nie miało widać tych obaw czy skrupułów, skoro mogło odrzucić współpracę z Ch. D., a przyjąć ją z... socjalistami i dąbczykami, i to po dość słonej cenie, skoro ujawnione kolejności miejsc na listach koncentracyjnych wydają się dość mocno zabezpieczać „interesy" partyj radykalnych, a zaledwie salwować narodowy stan posiadania mandatów.

Trudno nam wchodzić w rzeczywiste pobudki, które zrodziły decyzję Stronnictwa Narodowego co do zawarcia tego lokalnego sojuszu. Jakiekolwiek jednak one są, nie zdołają rozchwiać tych wątpliwości, które się na tem tle nasuwają. A już szczególnie opinja katolicka staje wobec olbrzymich trudności, aby pojąć tło i intencje tego kompromisu.

Czytaliśmy niedawno głos ks. biskupa Łozińskiego, który ze swego kresowego posterunku wołał: „głosujcie wszyscy, ale głosujcie tylko na listę, na której widzicie nazwiska chrześcijan prawdziwych rozumnych i dzielnych"! Jeśli na listach w Małopolsce obok nazwisk narodowców, a często na lepszych od nich miejscach, figurować będą nazwiska działaczów socjalistycznych i radykalno chłopskich, głoszących hasła rozdziału Kościoła od Państwa, szkoły bezwyznaniowej, ślubów cywilnych i rozwodów sądowych, konfiskaty dóbr kościelnych i t. p.—to jakaż może być odpowiedź katolików małopolskich na takie listy.

Powie ktoś: pakt gwarantuje, że te sprawy nie będą poruszane w agitacji. Jest to tylko obłuda i samoomamianie się. Głosy katolickie, oddane na takie listy, wprowadzą do parlamentu radykałów, a ci — gdyby np. przyszło do głosowania w nowym sejmie kodeksu małżeńskiego — nie zawahają się głosować wedle swojej doktryny, a przez to godzić w interes wiary i moralności chrześcijańskiej.

Naszem więc zdaniem—źle się stało, że doszło do tego bloku. Socjaliści, naturalnie, będą się cieszyć z niego, bo dla nich jest to rehabilitacja za dawne grzechy i winy, które im obóz narodowy słusznie wytykał, jest to także podtrzymanie ich słabnących wpływów.

Ale dla świata myśli narodowej i katolickiej nie jest to ani sukces taktyczny, ani wzór do naśladowania, ani wydarzenie, któreby mogło komukolwiek chwały przysporzyć. Trzeba się też z tem liczyć, że sojusz ten wielu wyborców mocno zdezorjentuje...

Na szczęście władze naczelne jednej z układających się stron uniemożliwiły ten nienaturalny sojusz przedwyborczy. Stroną tą była Rada Naczelna P.P.S., która w dniu 28 września doszła do przekonania, że P. P. S. nie może pójść do wyborów wspólnie ze Stronnictwem Narodowym i zdezawuowała uchwałę własnych władz w Małopolsce wschodniej.

Niewątpliwie, przyjemniejsze byłoby dla opinji katolickiej, gdyby inicjatywa zerwania wyszła ze strony władz centralnych

Stronnictwa Narodowego... Stało się jednak przeciwnie. Władze Str. Nar. pozostały aż do końca w tym przeświadczeniu, że sojusz z Centrolewem w Małopolsce wschodniej był słuszny i usprawiedliwiony. W № 283 „Gazety Warszawskiej" w artykule wstępnym znajdujemy nawet słowa ubolewania z powodu rozbicia bloku:

„Ubolewając nad tem rozbiciem — pisze organ Str. Nar. — stwierdzamy, że odpowiedzialność za nie nie spadnie na nasz obóz, który z dużem poświęceniem gotów był do skupienia głosów polskich".

Jako pismo katolickie musimy zastrzec się przeciwko takiemu stawianiu sprawy. W gruncie rzeczy interesy katolickie nie stoją nigdy w sprzeczności z interesami narodowymi i to, co nie jest usprawiedliwione z punktu widzenia katolickiego nie może być usprawiedliwiane doraźnymi i chwilowymi korzyściami z punktu widzenia narodowego, gdyż inaczej stanęlibyśmy na grząskim gruncie dwóch różnych etyk: katolickiej i narodowej.

Należy wyrazić ubolewanie, że w łonie Stronnictwa Narodowego zagadnienia te nie zostały jeszcze dostatecznie przemyślane i dobrze rozstrzygnięte. Taka dwutorowość ideowa mści się prędzej, czy później na każdej organizacji.,..

k. s.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Wrażenia z podróży.

I.

Kongres Eucharystyczny w Zagrzebiu.

Zagrzeb jest drugą po Belgradzie stolicą w Jugosławji, stolicą narodu chorwackiego. Jest to miasto, liczące dwieście kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców (wielkość polskiego Lwowa). Składało ono się dawniej z dwóch walczących z sobą grodów: Gsicza na górze i Kaptolu—poniżej leżącego. Walki te już dawno minęły. Gsicz jest starą dzielnicą miasta o średniowiecznych małych kamienicach. Na dół prowadzi z tej części miasta brama, w której znajduje się obraz Matki Boskiej, obstawiony świecami. Poniżej Kaptolu w ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat rozrosło się nowe miasto, o wspaniałych gmachach, pięknie bru-

kowanych, szerokich ulicach, pełne zieleni i kwiatów na wielkich placach. Same pomniki w Zagrzebiu świadczą o katolickim charakterze kraju. Widzimy pomnik biskupa Strossmayera, zakonnika Anccicza, generała Jelaczicza, który był gorliwym katolikiem i gorącym patrjotą. Ruch katolicki trwale się związał w Chorwacji z ruchem narodowym. Biskupi bywali jednocześnie wodzami narodu za czasów niewoli. I tak ogromną czcią cieszy się zmarły w r. 1921 biskup Mahnicz, wielki przyjaciel akademickiej młodzieży.

Naród chorwacki jest niewielki (4 miljony) ale bardzo uświadomiony narodowo. Przytem panuje solidarność między ludnością miejską a wiejską.

Lud dumny ze swych odrębnych zwyczajów i kocha swoje narodowe stroje (czego np. nie można powiedzieć o polskich wieśniakach). Na placu Jelaczicza, największym w Zagrzebiu, odbywa się codzień targ, który aż się mieni od barwnych strojów kobiet wiejskich, które przychodzą tu z okolic sprzedać swoje produkty. I nawet eleganckie panienki w Zagrzebiu noszą na sukniach ludowe wyszywanki. Gdy spytałem jednego studenta, gdzie nabył swą ładną narodową koszulę, odpowiedział z dumą, że uszyła mu ją jego matka, chłopka z Dalmacji.

W tem to sympatycznem mieście odbył się w połowie sierpnia kongres eucharystyczny. Ze wszech stron zjechał się do Zagrzebia pobożny lud chorwacki, aby oddać publicznie hołd P. Jezusowi, utajonemu w Najśw. Sakramencie. W czwartek 14. VIII przyjechał popołudniu nuncjusz papieski, powitany na dworcu śpiewem chóralnym. Na jego przybycie wszystkie dzwony zadzwoniły w całem mieście na znak rozpoczęcia Kongresu. Nazajutrz było Wniebowzięcie. O siódmej rano nuncjusz papieski monsinjor Pelegrinetti (który był poprzednio sekretarzem nuncjatury w Warszawie i dobrze mówi po polsku) rozdawał Komunję św. tysiącom dzieci w pięknym ogrodzie arcybiskupim. Tamże w niedzielę była Komunja św. młodzieży.

O ósmej arcybiskup Baner we wspaniałej gotyckiej katedrze na Kaptolu celebrował uroczystą mszę pontyfikalną w asyście wielu biskupów. Po wyjściu z kościoła orszak biskupów przeszedł do pałacu wzdłuż szpaleru gwardji arcybiskupiej, ubranej w strojne huzarskie mundury.

Obrady kongresu odbywały się w hali wielkich targów Zagrzebskich. Przedstawiciele gości zagranicznych wygłosili przemówienia powitalne: biskup Noll z Ameryki, słowacki biskup Jantausch, biskup Gojdicz z Rusi Podkarpackiej, ks. dyr. Biłko w imieniu ks. kard. Hlonda i inni. Z Czechosłowacji przybyło na kongres 400 osób. Na kongresie wygłoszono między innemi następujące odczyty: Nauka religji w szkole, Eucharystja i katolicka rodzina, Eucharystja i młodzież akademicka, Stosunek wiary do nauki i t. d. Kazania po kościołach wygłaszano po chorwacku, słoweńsku, węgiersku, niemiecku, czesku i rusku głównie na temat częstej Komunji św. oraz na temat „Marja a Eucharystja". We wszystkich kościołach był tłok niebywały przez cały dzień. Tysiące ludzi przystępowało do spowiedzi i Komunji św. Wystawiony Przenajśw. Sakrament adorowano do późna w nocy. W nocy z soboty na niedzielę odbyły się po wszystkich kościołach nocne msze pontyfikalne. Gdy się szło po ulicach nawet na krańcach miasta słyszało się w nocy jakby niebiańską muzykę i chóry anielskie. Było to radjo, które rozmieszczone po różnych placach przenosiło głos katedralnych chórów. Kościoły były pięknie iluminowane, a przedewszystkiem katedra, której gotycki^ koronkowe wieżyce i rozety lśniły cudownie na czarnem tle nieba.

Rozrywki były dostosowane do powagi i nastroju kongresu Eucharystycznego. W teatrze grano legendę o Panu Jezusie, przedstawiane przez dzieci. W innym grano Mękę Pańską, którą przedstawiali wieśniacy z Krapiwnicy. Pokazywano również obrazy z Pisma św. w opracowaniu scenicznem. Ognie sztuczne, pokazywane na wielkiem boisku poza miastem przedstawiały między innemi również obrazy religijne, a nawet portret Ojca św. ze świateł na tle nieba.

Najważniejszym wszakże był ostatni dzień Kongresu. Zrana na największym placu Zagrzebia, Jelaczicza, odprawiona została uroczysta Msza św. na specjalnie zbudowanem podjum z obrazem Serca Jezusowego. Celebrował ją w wielkiej asyście nuncjusz Pelegrinetti. Nieprzeliczone tłumy zaległy plac, wpatrzone w ołtarz i wschłuchane w śpiewy ogromnego chóru.

Popołudniu odbyła się procesja Eucharystyczna, która wychodząc z placu Jelaczicza okrążała całą nową część miasta. Była tak długa, że gdy czoło pochodu już wracało do punktu

wyjścia dopiero od ołtarza znoszono Sanctissimum pod baldachimem, niesionym przez wieśniaków z okolicy Zagrzebia. Baldachim poprzedzało wszystkich 20 biskupów Jugosławji i kilku zagranicznych. Na 100 tysięcy obliczano liczbę ludzi, biorących udział w procesji. Jest to liczba ogromna, jeśli się zważy, że naród Chorwacki liczy tylko 4 miljony głów. Bo też każda parafja poczuwała się do tego, by choć parę osób przysłać na Kongres. Wspaniale i barwnie wyglądała ta procesja, bo niemal każda gmina ma swoją odrębność w stroju. Więc byli i biało ubrani wieśniacy z okolic Zagrzebia z czarnemi okrągłemi kapeluszami; byli Bośniacy w kożuchach i kapciach z małemi czerwonemi czapkami bez daszka a z frędzlą; byli Słoweńcy w biało czerwonych strojach z czerwonemi parasolami. Odmian strojów kobiecych niktby nie wyliczył.

Niechętnie jednak obecny rząd jugosławiański patrzył na tę manifestację religijną, bo ruch katolicki w Chorwacji połączony jest z ruchem narodowym, którego sobie rząd nie życzy. Dlatego ciężkie jest położenie polityczne narodu chorwackiego. Jednak ufać należy że poprawi się jego dola. Naród chorwacki jest wart tego, bo jest to naród dzielny, partrjotyczny i pobożny, czego najlepszym dowodem był Kongres Eucharystyczny.

II.

Niemcy.

Pielgrzymka międzynarodowa do Altöting.

Dużo jest międzynarodowych stowarzyszeń pracujących dla sprawy pokoju. Ale napróżno pracuje, kto pracuje bez Chrystusa. Bo prawdziwy pokój—to pokój Chrystusowy w królestwie Chrystusowem. Znaczy to, że jeżeli wprowadzimy p-nowanie Chrystusa Pana w życie rodzinne, do wychowania szkolnego, w życie narodów to wtedy wprowadzimy też zasady chrześcijańskie w stosunki między narodami. To też gdy socjaliści i inni ludzie do Kościoła wrogo lub obojętnie usposobieni, łączą się, by szerzyć swoje idee między wszystkiemi ludami, tem więcej powinni się łączyć katolicy wszystkich krajów, by prawda Chrystusowa zapanowała na świecie. Rozumiejąc to, studenci katoliccy rozmaitych krajów utworzyli związek międzynarodowy, zwany Pax Romana, to znaczy Pokój Rzymski. Rzymski dlatego, że tylko w oparciu o Stolicę Apostolską,

o Namiestnika Chrystusowego w Rzymie budować można prawdziwy pokój. Stowarzyszenie to, aby przedstawiciele wszystkich narodów mogli się zbliżyć i poznać, urządza Kongresy każdego lata w innym kraju. W r. 1927 taki Kongres Pax Romana był w Polsce, potem był w Anglji, w Hiszpanji, a w tym roku w Niemczech, mianowicie w Monachjum.

Mając bliskie sąsiedztwo Niemców protestanckich, zapominamy często o tem, że wielka część narodu niemieckiego jest katolicka. Monachjum jest stolicą Bawarji, kraju właśnie nawskroś katolickiego.

Na kongresach Pax Romana młodzież łączy się nietylko we wspólnych obradach ale również i w modlitwie. I co roku w czasie kongresu uczestnicy jego urządzają pielgrzymkę do jakiegoś świętego miejsca. 3 lata temu byli goście zagraniczni na Jasnej Górze, w tym roku udali się wszyscy kongresiści do świętego miejsca Bawarji, do Altöting.

Popołudniu, dnia 30 sierpnia specjalny pociąg zawiózł tam naszą pielgrzymkę złożoną z 200 osób. Od stacji przeszliśmy procesjonalnie przez miasto do Kościoła OO. Kapucynów w Altöting, gdzie wysłuchaliśmy podniosłych kazań. Potem zwiedziliśmy kaplicę z cudownym posągiem Matki Boskiej i kościół, gdzie leży ciało błog. brata Konrada, Kapucyna. Kaplica Matki Boskiej stoi na środku wielkiego placu. Jest bardzo stara, ale tak mała, że tylko kilkanaście osób może się pomieścić w środku. Posążek Matki Boskiej, mała drewniana rzeźba w bogatej sukience, umieszczony jest na środku wielkiego obrazu, wykutego w srebrze. Mnóstwo wotów otacza ołtarz, bo ten mały posążek wiele cudów sprawił. Z powodu ciasnoty we wnętrzu ludzie modlą się, chodząc dokoła kaplicy po okalającym ją ganku. Do tego obchodzenia kaplicy przywiązane są widocznie odpusty specjalne.

W tej kaplicy kilkadziesiąt lat temu służył codzień do mszy św. brat Konrad, furtjan OO. Kapucynów. Odznaczał się wielkiem miłosierdziem. Wielu ludziom pukającym do furty klasztornej udzielał wsparcia i pokrzepiał serca słowem. Słowa jego były pełne mądrości, choć był to zupełnie prosty człowiek, syn bawarskich wieśniaków. Umarł w r. 1894 z oznakami świętości. Ojciec św. Pius XI ogłosił go w czerwcu 1930 r. błogosławionym. Stąd tego lata były w Altöting wielkie uroczystości

ku jego czci. Na jeden z takich uroczystych dni trafiła nasza pielgrzymka. Wieczorem każdy z nas dostał świecę z niebieską lub czerwoną osłonką. Wyszliśmy na plac. Wszystkie okna domów okalających plac były ślicznie udekorowane niebieskiemi i czerwonemi lampkami. Zaczęła się procesja. Naprzód szła nasza międzynarodowa pielgrzymka. Na czele pielgrzymki szli Słowacy, Polacy i Czesi. I dlatego, gdy mieliśmy śpiewać narodowe pieśni religijne najpierw zabrzmiała polska pieśń maryjna „Serdeczna Matko", który Polacy wespół ze Słowakami śpiewali. Potem śpiewali Anglicy, Francuzi, Holendrzy i t. d., każdy w swoim języku. Na środku placu grała muzyka i od czasu do czasu śpiewał chór dzieci z Altöting. Najmniejszy powiew wiatru nie chwiał płomieniem naszych świec, a głos rozlegał się daleko. Za nami w wielkim porządku szło kilka tysięcy wieśniaków bawarskich, śpiewając po niemiecku. Wreszcie, otoczywszy plac kilka razy zatrzymali się wszyscy przed wielkiem podjum na środku placu. Jeden z Ojców Kapucynów powiedział krótkie kazanie. Biskup miasta Passau pobłogosławił lud cudownym posążkiem, poczem wszyscy odmówili chóralnie kilka modlitw do Matki Boskiej i na dany znak jednocześnie zgasili świece. Później rozeszli się, ale jeszcze długo słychać było słowa modlitwy rytmicznie wypowiadane przez tych, którzy okrążali cudowną kaplicę. Nasza pielgrzymka wróciła koleją do Monachjum, unosząc ze sobą niezapomniane wrażenia pięknego wieczoru w Altöting. *J. S.*

Wspomnienie jakich wiele.

(Według zeznań naocznych świadków).

> Cierp i pracuj! a bądź dzielny,
> Bo twój naród nieśmiertelny!
> J. Słowacki.

Na Wołyniu, na samem pograniczu od strony Galicii, wśród bujnych pól, dyszących bogactwem pszennego chleba i słodyczą cukru, stał do niedawna dwór otoczony staremi wiekowemi drzewami.

Był to polski dwór, nie olśniewający przepychem magnackiej rezydencji, — ale typowa siedziba kresowego szlachcica-obywatela, z sędziwem domostwem, co wieki przestało na ozna-

czonem przez pradziadów miejscu, i niejednemu już służyło pokoleniu.

Ład i dostatek biły tu w oczy swym ujmującym wdziękiem, świadcząc dobitnie o roli cywilizacyjnej dziedziców. Był to dwór przytem, pod wieloma względami — wyjątkowy.

Bo kiedy często, na ruskich kresach zaboru moskiewskiego, społeczeństwo wpadało w pewną martwotę zobojętnienia, pod wpływem ówczesnego ucisku rządowego i prześladowania religijnego,—kiedy ziemiaństwo, co wysiliwszy się niegdyś na powstanie z bronią w ręku, i w tych walkach potraciło wielu synów zabitych, lub zesłanych na stepy Sybiru, oraz liczne majętności skonfiskowane, — popadało w stan pewnej apatji i oportunizmu, to tutaj, w tym dworze, wszystko co się działo, tchnęło czystą miłością Ojczyzny, wiarą w odrodzenie, nadzieją w tryumf sprawiedliwości, miłości braterskiej i przekonaniem o misji dziejowej Polski, jako przedmurza Wiary świętej.

Gdy się przestępowało próg tego domu, trzeba było pamiętać o górnych tradycjach, trzeba było inaczej myśleć jak gdzieindziej. Bo tu mówiono o nich z świętym ogniem zapału,—choć przyciszonym głosem i przy drzwiach zamkniętych, z obawy przed badawczem okiem i uchem szpiega rządowego. Życie nie płynęło tu pasmem dni szarych, w jedynej trosce mozolnej o zdobywanie dóbr materjalnych. Tu każdy dzień cichy, pracowity, powszedni, — był zarazem jakoby dniem święta i poezji. I zdawało się zawsze, że w tym polskim Dworze inaczej szumią klony i graby starego parku i inny zapach wydają kwiaty, na wirydarzu przed oknami, tak tu było ładnie i miło, pogodnie i swojsko! Bo te drzewa i kwiaty były tak piękne i takie barwne! tak kwitnęły wspólnym akordem zespołu z płomiennemi duszami ludzkiemi w tym dworze, że narzucały się swym ogólnym nastrojem każdemu, lecz nie w przepychu dumnych róż i tulipanów, ale w skromnym wdzięku fijołków, konwalji i narcyzów.

Tak wyglądała, zewnętrznie i moralnie, stara siedziba rodziny Trzebińskich, poetycznie zwana „Łąki".

Dobrze pamiętamy sędziwego pana domu. Blisko 80-letni starzec, — pomimo to zawsze serdeczny, gościnny, pełen indywidualnych zalet rozumu i serca,—prawdziwym był patryarchą okolicy, do którego każdy zwracał się z szacunkiem, ale za-

razem i pewną obawą, jak do surowego sędziego, który nie potrafił nigdy obwijać błędów w bawełnę, ale je gromił swym sądem jasnym, choć życzliwym dla ludzi, i nie cofnął się nigdy przed obowiązkiem szczerej prawdy, tak jak ją rozumiał, — a rozumiał zawsze mądrze i zacnie. Nie kwitnęła też w Łąkach modna francuszczyzna, którą na kresach powszechnie uprawiano, a często z wielką przesadą. Znano tu dobrze język francuski, jako w kulturalnym domu, ale mową potoczną salonu była mowa ojczysta.

Pamiętamy, jak tego czcigodnego starca wynoszono z domu w trumnie; jak tłumnie zbiegli się ludzie wszelkich stanów na pogrzeb; jaki rozbrzmiewał płacz chłopków okolicznych, — jaki był zjazd i żal ziemiaństwa z najdalszych stron! Ale to było dawno, — bardzo dawno przed wojną.

Obok starego pana, sędziwa jego małżonka była prawdziwem uzupełnieniem męża. Pani niepowszedniego rozumu, uosobienie słodyczy, wyrozumiałości i tych niewieścich wdzięków, co stanowią, jak mówi poeta „wiecznie kobiecą cechę", pomimo siwych włosów.—Dostojna ta para doczekała się jednego syna, powszechnie znanego obecnie w Wilnie profesora U.S.B. Stanisława Trzebińskiego, i dwóch córek pani Skibniewskiej i pani Czajkowskiej oraz 16-ga wnuków.

Pani Trzebińska, z domu Podoska, węzłami powinowactwa sięgała tradycji poetów Malczewskiego i Wincentego Pola, i wychowała się pod tchnieniem romantyków polskiej poezji. W Łąkach też literatura ojczysta i książka polska szerokie zdobyły prawo obywatelstwa; był to dom gdzie dużo czytano i interesowano się kulturą umysłową. A przytem, za pierwszy obowiązek polaków kresowych uważano pracę nad ludem i wierzono w pokrewieństwo z nim szczepowe. Czuć było wpływ owego kultu patrjotycznego dla misji polskiej względem pobratymców, wyrażonego w „Pieśni o Ziemi naszej":

„A czy znasz ty bracie młody
„Te pokrewne tobie rody:
„Tych górali, tych rusinów,
„I Żmudź świętą i litwinów?"

I otaczano lud rusiński troskliwością opieki materjalnej i moralnej, przyznając mu prawo do serca polskiego i wierząc,

że stanie się on z czasem szczerym przyjacielem kultury polskiej i sprzymierzeńcem przeciw wschodnim zakusom.

Oto zaraz za bramą dziedzińca, co stała gościnie otworem, rozciągała się wieś, rozgałęziona w kilka ulic btałych, ze swemi niskiemi chatami lepionemi z gliny, a styczność najczęstsza, najbliższa, najofiarniejsza dworu ze wsią, weszła w tradycyjny i naturalny zwyczaj.

Najprzód gromada duża dzieci zbierała się codziennie we dworze na naukę czytania, pisania, pogadanki nauczające i pacierze, na które nie tylko katolickie dzieci uczęszczały. W maju, przed ołtarzykiem Najświętszej Panny, cała wieś cisnęła się wieczorem. A przecie i oświata polska i propaganda katolicka uważane były prze Rząd Moskiewski za zbrodnię i zabronione pod karą więzienia i Sybiru. Trzeba więc było postępować ostrożnie i ukrywać szczególnie szkolnictwo, opłacając przytem sowicie miejscową policję, od „uradnika" aż do pana „isprawnika", czyli naczelnika powiatu, jak również i całą zgraję drobnych piesków, węszących skwapliwie skąd da się zysk osięgnąć.

Pani i córki dworu, to były zarazem urzędowe lekarki wsi, do których po radę udawano się z oddalonych nawet okolic, a zawsze ludek Boży znajdował tu skuteczne lekarstwo za darmo, a często w dodatku hojny grosz i zawsze słowo życzliwe, oraz nasiona i pomoc w biedzie. W razie śmerci, otrzymywali ludziska deski na trumnę, a świece na gromnicę; w razie ślubu, cała weselna gromada waliła prosto do dworu, do pana i pani,—pokłonić się i otrzymać upominek i poczęstunek, a potem,—przed dworem, pod lipami:

„Sto młodzieńców, sto dziewic szło w taniec parami".

Tak było przed laty na Rusi w polskim dworze".

Ale, niebawem nastała straszna burza. Przyszli bolszewicy ze złowrogiem hasłem: „Wojna pałacom--pokój chatom!" No, i przewrócili porządek rzeczy w sposób straszliwie okrutny, szerząc zniszczenie potworne, a nie budując w zamian nic, ani dając nowego szczęścia i nowej opieki chatom.

* * *

Pewnego dnia pani Trzebińska „Babcia" siedziała w swych Łąkach przy oknie z robotą w ręku,—aż naraz, niespodzianie, posypały się wszystkie szyby, pokrywając stłuczonem szkłem podłogi domu.

Przyszedł wieczór. Nie było czem zaczerpnąć wody ze studni dla zwilżenia spieczonych ust, — ani czem się okryć, czem posilić, gdzie głowę złożyć do spoczynku.

Ziemianie kresowi przygotowani już byli, że lada dzień w każdym dworze polskim wybuchnie pogrom. To też Babcia nie ruszyła się nawet z miejsca. Niebawem wtargnęła do pokoju liczna banda z pijanym krzykiem: „Dawaj hrosze!"

Babcia milczała uroczyście w swoim wysokim, staroświeckim fotelu. Nie jęknęła nawet z bólu, czy strachu, — tylko dalej poruszała drutami z dziwnym spokojem. Nawet śladów wzruszenia nie wyczytałeś na twarzy, nawet ręce pracujące nie zadrgały,—tylko, pod wpływem zatrutych oddechów zapachem wódki, co tuż koło jej twarzy wybuchały piekielnym wrzaskiem, — okulary spadły z oczu na ziemię i rozprysły się w drobne kawałki, — niby te piękne a złudne marzenia o uszlachetnieniu i braterstwie ludu rusińskiego...

Ale tymczasem, coraz głośniej, coraz groźniej domagano się pieniędzy: „Dawaj hrosze!"

„Sami bierzcie, —odrzekła spokojnym głosem,—Tam w szufladzie otwarta szkatułka. Ja przecie jej nie obronię. Wy macie siłę, robicie co chcecie".

Łagodność staruszki nie rozbroiła zbójów. Jeden z nich skoczył i brutalnie, wykręcając palce, zdarł jej z ręki ślubną obrączkę. Inni łamali już z łoskotem mahonie, staroświeckie czeczotki, zrzucali ze ścian portrety, darli misterne robótki prababek na strzępy. Dobrali się wreszcie do biurka ojców!... Rozsypały się, rozleciały rozmaite papiery, pożółkłe dokumenty, a wiatr, przez potrzaskane okna, wydmuchał je na wszystkie strony, niby śniegiem pokrywając dziedziniec.

Dwór polski, dwór taki dostojny dotąd całym majestatem ładu i kultury,—w niespełna godzinę, dziwny przedstawiał widok zniszczenia. Bez okien, drzwi, pieców, — zawalony stosami skorup, trzasek, łachmanów i wszelkiego rodzaju rupieci, piętrzących się i tamujących przejście, — stanowił obraz istotny chaosu,—po przejściu bezrozumnej siły.

Pani Trzebińska zakryła twarz rękami. Nie chciała patrzeć, nie mogła na to straszne spustoszenie. Krzyczano jeszcze: podpalić!—ale jakimś cudem tego nie zrobili i odeszli wreszcie tak jak przyszli, raptownie z wrzaskiem i pianą przekleństwa na ustach.

Tę długą noc bezsenną przesiedziała staruszka nie ruszając się z miejsca, na tym jedynym fotelu, co pozostał z pogromu.—Tylko po izbach dworu snuły się w ciemności jakieś mary, co zdawały się wybuchać szyderczym śmiechem: Oto wasz wysiłek kulturalny całych pokoleń! ot praca wieków! Mrzonki wasze o zgodzie i braterstwie obywateli wspólnej ziemi, — to wszystko utonęło dzisiaj w morzu nienawiści.

Ale zanim brzask dnia rozwidnił nowe zorze, djabelskie mary poczęłz rozwiewac się i znikać, a anioł miłości odsłaniał powoli, w szlachetnej duszy pani Trzebińskiej, skarby ukryte w jej sercu, skarby wyrozumienia i przebaczenia.

(c. d. n.)

Cierniowa droga artysty.

Pewien syn rybaka był chłopcem marzącym, wpatrzonym w błękity. Wypieściła go melancholja i tęsknota za czemś nieznanem. Gdy pijany ojciec robił w domu piekielne awantury— wrażliwe i wątłe dziecko dostawało konwulsji. Kiedy nie mógł podołać ciężkiej pracy — bywał katowany przez matkę. Lubił samotność, unikał rodzeństwa, które odczuwając w nim jakąś wyższość dokuczało mu bardzo. Uciekał z chaty, słuchał szumu morskiego, całował kwiaty i krzewy tulił do piersi. Wstawał o świcie, witał od strony morza cud wschodzącego słońca, otulonego morelowemi i lila obłokami. Upajał się tem pięknem, wyciągał wątłe ramiona i biegł do słońca, nogi kaleczył do krwi, aż zmęczony śmiertelnie padał na błękitne łoże niezapominajek. Wtedy na łagodne usta siadały motylki i całowały go one jedyne na świecie, bo nigdy nie dotknęły go wargi matki-kata.

Raz strasznie skatowany z krwią broczącą po plecach, zalany łzami poszedł do kapliczki i objął za szyję rozdygotanemi rączętami figurkę Pana Jezusa. Rano znaleziono go zemdlonego i rozbitego Chrystusa. Chłopi myśląc, że to jest kara boska za profanację, zaraz po ocuceniu zaczęli go bić pasami. Z gardła i z nozdrzy niewinnego dziecka lała się krew. „Ach, Boziu, zlituj się!"—szeptał zsiniałemi ustami, blady śmiertelnie. Potem gdy się błąkał—dzieci przezywając się rzucały na niego kamieniami jak na świętokradcę. Prześladowane dziecko uciekało do gaju

i tam łkając, skarżyło się żałośnie olszynom. Jakaś dziewczyna go podsłuchała i roztrąbiła po całej wsi, że to jest głupiec, bo sam ze sobą gada. Od tej pory za tą tragiczną postacią biegały całe chmary andrusów, chichocząc przeraźliwie. Kopany nieludzko przez pijanego ojca-zwierza, już nie przychodził na noc.

Kładł się w kajaku i drżąc, wchłaniał wzrokiem gwiaździstą miesięczną noc. Zapomniał o chłodzie, słuchając zawrotnych treli słowiczych i kochanego szumu polskiego morza. Widział korowody wróżek cudnych, które tuląc pieściły go i całowały. Marzące źrenice chłopca zachodziły łzami szczęścia. Twarzyczka wtedy zdradzała zatrważającą, przedwczesną dojrzałość.

Zgłodniałe dziecko zobaczyło raz na progu kubek z mlekiem. Spragnionemi ustami przywarło do niego. Wyleciała jakaś wiedźma z drewnem i przeklinając strasznie goniła go, jak złodzieja. Nazajutrz cała wioska okrzyknęła go złodziejem Nieszczęśliwe dziecko bało się podejść do Jezusa, tylko zdaleka wyciągało rączęta i wołało swego Boga pobladłemi wargami. W tej wielkiej samotności zatęsknił za szczerą przyjaźnią. Podszedł do okna, gdzie ujrzał buzię łagodnej dziewczynki. Rodzice jej poszczuli go psami, opadla go cała zgraja. Potargały ubranie na strzępy i pogryzły do krwi. Psy czują złodziejskie ziele! — krzyczała hałastra.

Wynędzniały i z głową schyloną smutnie usiadł pod krzyżem. Jakiś dziedzic przejeżdżał i myśląc że to żebracze dziecko, rzucił mu monetę srebrną. Baby szeptały, że ten włóczęga jest podrzutkiem, wyklętem dzieckiem, ale nie przez Boga, tylko przez ludzi! Jechała dorożka jakaś, zamyślony chłopiec, przechodząc na drugą stronę nie zauważył tego. Stangret wyciął go biczem. Zbolałe plecy zadrgały nerwowo.

W pewien chłodny wieczór jesienny układł się na cichym, psim barłogu. Zasłuchał się aż do zapamiętania w szum klonów i zsiniałemi rączętami złote liście tulił do serca. Pies lizał mu rozpalone czterdziestostopniową gorączką czoło i usta spieczone. Widział koło siebie białych Aniołów i Zbawiciela. „Wody" — wyszeptał błagalnie. Rozległ się cudny śpiew anielski — a Jezus dał mu wody.

Rano ktoś z dworu ujrzał stężałe dziecko i zaniósł do hrabiny. Wśród puchu łabędziej pościeli—wyleczył się biedny chłopiec. Zauważono, że ma wrodzoną inteligencję i jakąś tajemni-

czą, dużo mówiącą marzycielskość. Zainteresowano się nim. Polubili go bardzo i zaczęli kształcić.

Gdy zaś wytworna panienka grała na fortepjanie, to młodemu marzycielowi źrenice mgłą się zasnuły, z ust płynęła piana, ramiona wyprężyły się konwulsyjnie. Gdy przerażona ustała grać przypadł do jej stóp i całując, prosił o jeszcze—Przyszła sława—zauważyła.

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy był już młodzieńcem dorosłym, pisał tak cudne wiersze, że papież się nim zainteresował i książęta. Wszyscy w nim widzieli przyszłego genjusza. W gazetach o nim pisano. Sława wszechświatowa go kołysała. Cała Europa na rękach go nosiła. Dostał nagrodę Nobla i dużo drogocennych podarków od arystokracji, której był zwolennikiem. Stał się bogaczem. Wyjechał zagranicę, poznał życie w całym przepychu. Zwiedził całą Europę i Amerykę. Jedna księżniczka zakochała się w nim szalenie. Nie poślubił jej z nadmiaru szlachetności. Gdy na jej zaręczynach grała muzyka—to zemdlał.

Mówiono, że się w czepku rodził, chociaż w jego twarzy wyczytać można było jakiś żal do świata.

Jadwiga Filipowiczówna.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

„Jezus Król Miłości“ O. Mateo. W ostatnich dniach pojawiła się na półkach księgarskich książka pod powyższym tytułem. Niezmiernie ciekawa jest geneza tej książki. O. Mateo, zakonnik Kongregacji Serc Jezusa i Marji, której szczególnem zadaniem jest szerzenie czci Najświętszego Serca Jezusowego, jest obecnie znanym w całym świecie katolickim apostołem Intronizacji Najświętszego Serca Jezusowego. W roku 1907 przełożeni wysłali O. Mateo, dotkniętego ciężką chorobą z Ameryki do Europy dla poratowania zdrowia. O. Mateo udał się do Paray-le Monial, nie w tym celu aby wyjednać cud uzdrowienia fizycznego, lecz aby uprosić łaskę dla kapłana gorętszej miłości do Najświętszego Serca Jezusowego oraz łaskę śmierci godnej. Zaledwie jednak ukląkł w kaplicy, gdzie ongiś ukazywał się Chrystus, i rozpoczął modlitwę uczuł jakieś dziwne wstrząśnienie w całej swej istocie... czuł, że jest uzdrowiony. To co O. Mateo w owej chwili doświadczył, nie da się opisać; wolno jednak przypuścić, że wówczas serce zranione zostało strzałą miłości. Albowiem tegoż jeszcze wieczora podczas medytacji Świętej Godziny otrzymał od Serca Najświętszego mandat zdobycia Chrystusowi świata całego oraz całkowity plan Intronizacji, jak ją dziś praktykują po całym świecie. Odtąd O. Mateo czuł się najszczęśliwszym, gdy mógł przemawiać o Sercu Najświętszem, „o Miłości” jak zwykł był mawiać. Udał się więc do Rzymu aby uprosić u Papieża Piusa X pozwolenie na szerzenie wreszcie upragnionego apostolstwa.

„Nie mój synu", odpowiedział Papież po wysłuchaniu prośby, „nie pozwalam".

— „Ależ Ojcze Święty..."

— „Nie, nie pozwalam", powtórzył Pius X z tym właściwym sobie, jakby filuternym uśmiechem; a potem otwierając ramiona i przyciskając go do serca dodał:

„Nakazuję Tobie słyszysz? Nietylko pozwalam, ale rozkazuję. Oddaj życie całe tej sprawie zbawienia społecznego. To istotnie dzieło przedziwne, poświęć mu życie swoje.

Otrzymawszy aprobatę Głowy Kościoła, O. Mateo niby drugi Paweł Święty rusza na podbój narodów.

Jako apostoł w całem słowa znaczeniu, bez sakwy, bez środków materjalnych, bez sił innych jak siłę swych gorących pragnień i zupełnego zaparcia się siebie, przebiega on świat, podbijając dusze, zapalając je ogniem, który go pożera, a czyni z taką prostotą, skromnością i z takiem namaszczeniem, że oprzeć się niepodobna. Mówiąc z prostotą o rzeczach najprostszych, o Ewangelji, unosi on słuchaczów, porywa jakąś tajemniczą potęgą, która zeń bije. Ma się wrażenie, że sam boski Mistrz przemawia i działa przez sługę swego; kto go słucha, przeżywa to, czego doświadczać musieli ludzie, kiedy Zbawiciel chodził po ziemi: każdy jest wstrząśnięty, zwyciężony, przeobrażony..., każdy staje się apostołem. Jakże bogato przedstawia się plon jego pracy. Wystarczy przepisać jeden poragraf z broszury statystycznej:

„Dzieło Intronizacji jest rozpowszechnione w Chili, w Peru pod Zwrotnikiem, w Uragwaju, w Argentynie, w Brazylji, w Kolunbji, w Panamie, w Boliwji, w Stanach Zjednoczonych, w Meksyku, w Wenezueli; Intronizacja yrzyjęła się już w Hiszpanji, w Belgji, Francji, we Włoszech, w Polsce, w Holandji, w Anglji, na Korei, w Kairze, na Madagaskarze, w Gabonie, w Kongo, w Senegalu, w Oceanji, aż hen wśród trędowatych w Molokai".

Błogosławieństwa i łaski, jakie towarzyszyły misji O. Mateo, były wprost cudowne. Pewien biskup pisze do niego tak:

„Mój Ojcze, to, co widziałem, nie było jedynie zmartwychwstaniem jednego człowieka, to cały cmentarz zmartwychwstał".

W roku 1916 widzimy znowu O. Mateo w Paray-le-Monial, dokąd się schronił dla zaczerpnięcia świeżych sił do dalszych apostolskich prac.

Apostoł czuł się wyczerpany fizycznie i moralnie. Czuł potrzebę milczenia i modlitwy. Niestety prędko rozwiała się nadzieja odpoczynku w Paray-le-Monial. Pielgrzymi często bezlitośni w swej żarliwości, ścigali świątobliwego Ojca w mieszkaniu, w kaplicy, nawet na ulicach, bez względu na jego zmęczenie. Z żalem zdecydował się więc opuścić to święte miejsce.

O. Konstanty Marja Żukiewicz, Dominikanin: Na tej dolinie łez. Rozważania różańcowe. Miejsce Piastowe, 1929. Nakładem Wydawnictwa Książnicy—Michalineum. Str. 220 + 12 nlb.

O. Konstanty Marja Żukiewicz wydanemi dotąd pracami zasłużył sobie na miano „pisarza Marji". Każda praca jego — to najrzewniejszy hymn na cześć Królowej Niebios. Czy to będą monografje cudownych obrazów Matki Boskiej, czy też jakieś rozmyślania, wszystko to przeniknięte jest umiłowaniem Niepokalanej Nieba Władczyni, bo z miłości potężnej do Niej powstawały te dzieła i z chęci rozszerzenia Jej czci. A najszlachetniejsze te pobudki nie pozostawały bez wpływu na strukturę dzieł, lecz wyciskały na nich silne piętno. Miłość ku Matce Bożej dyktowała autorowi najpiękniejsze słowa na Jej chwałę, z miłości ku Niej stawał się autor poetą, aczkolwiek pisał tylko prozą. Bo styl O. Żukiewicza to pogranicze poezji a prozy i to wszędzie. Nawet w monografjach historycznych.

A jeden z piękniejszych poematów — to ostatnio wydane „Na tej dolinie łez“. Nazywamy te rozmyślania różańcowe poematem, gdyż właściwszego miana na określenie ich znaleźć nie możemy. Dyskretny patos czyni je utworem nawskroś poetyckim i to o wartości większej może nawet, aniżeli utwór wierszowany. Gdyby tę samą treść przetopić na najkunsztowniejsze strofy z najkunsztowniejszemi rymami, pozostałaby misterna deklamacja, tu tymczasem ta przepiękna proza pulsuje najgłębszem uczuciem, najszczerszym liryzmem, gdy trzeba, nabiera mocy akordów spiżowych, a nadewszystko tchnie najżywszą wiarą. najprawdziwszą nadzieją i słowami pokrzepienia. A ponad wszystkiem góruje przedziwna melodja zdań, o im jedynie właściwym rytmie, pełnym majestatycznego spokoju i skupienia. Oto maleńki przykład: „Bądź z nami z różańcem, bo złamani iść za Tobą i za Chrystusem nie możemy, więc nas ciągnij, modlitwą ciągnij ku Sobie, jak ongiś, kiedy modlitwy uczyła nas matką i dźwięczała w nas muzyką niewypowiedzianą i świat cały w muzykę dla nas się zamieniał. A kiedy zamilkła, zagadką stał się świat cały i oniemiała muzyka i zerwały się struny, a z niemi i życie serca. Ty je naciągniesz napowrót—rozegrają pieśń Twoją“. To wyjątek, a z takich „wyjątków“ składa się cała książka.

Dla swych walorów stylowych „Na tej dolinie łez“ przedstawia wartość pierwszorzędną w rzędzie wydawnictw katolickich ostatniej doby, pierwszorzędną również wartość ma dla głębokiej treści. Nastawienie tych rozmyślań jest życiowe, praktyczne, ale osnute na tle tajemnic różańcowych. Czcigodny autor zna dzisiejsze życie, maluje je w ich naturalnych, ponurych barwach, ale nie poto, aby siać pesymizm, rozgoryczenie, zwątpienie. Nie może on zdecydować się na to, by w całości odmalować dzisiejsze stosunki, a dopiero po ukończeniu tego obrazowania podawać środki zaradcze, bo troska o dusze nieśmiertelne, o ich nawrócenie każe mu wysuwać natychmiast środki zaradcze. I oto rozdziały snują się paralelicznie: Życie ludzkie złamane — Życie odrodzone, Życie obłąkane— Życie światłości, Życie zwierzęce — Życie godne człowieka, Zdziczenie życia — Kultura życia, Życie rozproszone — Życie wewnętrzne, Brak charakteru — Wyrabianie charakteru.. Co na chwilę zstąpi autor w mroki życia dzisiejszego, to zaraz ukazuje przepiękny obraz tego, co być powinno, prześwietlony czcią Królowej Niebios. I tak cała książka, książka piękna, niosąca słowa pociechy, krzepiąca na duchu, wskazująca drogę ku Tej, której chwałę szerzy autor z poświęceniem przez całe swoje życie. Za pracę tę należy się mu wdzięczne podziękowanie, bo rzeczy takie ukazują się rzadko.

Szata zewnętrzna książki (Tłocznia Michalineum w Miejscu Piastowem) na poziomie. Przynosi ona zaszczyt wykonawcom. Okładka umiarkowana, o rysunku, mocnym w wyrazie. *J. M. Ch.*

Adorjan Divéky: **Święty Emeryk, patron młodzieży węgierskiej, i jego stosunek do Polski.** Warszawa, 1930. Str. 30 + 2 nlb.

P. Adorjan Divéky. docent historji Węgier ze szczególnem uwzględnieniem stosunków polsko-węgierskich na Uniwersytecie Warszawskim, przyjaźń polsko-węgierską szerzy nietylko z katedry uniwersyteckiej, nad zbliżeniem bowiem dwuch bratnich narodów pracuje również na szerszem polu. „Polak z Węgrem dwa bratanki“ — głosi stara piosenka, ale to zespolenie przedstawia jedynie przy... szklance wina, tymczasem są inne podstawy zbliżenia: i Polska i Węgry — to narody katolickie, które ongiś łącznie odpierały napady zbrojnej ekspansji muzułmańskiej na Europę; To braterstwo broni poprzedzone zostało jeszcze przedtem węzłami personalnemi przez świętych. Pierwszy narodowy święty węgierski i król zarazem, św. Stefan, — toć przecie siostrzeniec naszego Mieczysława I.

w czasach późniejszych księżne polskie: bł. Kinga i bł. Jolenta, z pochodzenia były Węgierkami, córkami króla Beli IV z dynastji Arpadów; w międzyczasie natomiast żył św. Emeryk, syn św. Stefana, również związany jest z dziejami polsko-węgierskiemi. Po pierwsze był wnukiem Polki; po drugie bawił czas jakiś w Polsce, mianowicie na Łysej Górze, gdzie o. o. Benedyktynom ofiarował cząstkę drzewa Krzyża św., po trzecie ożeniony był z księżniczką polską, córką Mieszka II.

P. Divéky, nawiązując do tych węzłów przyjaźni, życie św. Emeryka traktuje popularnie, choć w przedstawianiu faktów stosuje metodę ściśle naukową. Sumienne zestawienie źródeł daje czytelnikowi wiele ciekawych wiadomości. Praca to okolicznościowa, wydana w związku z uroczystościami dziewięćsetlecia śmierci młodocianego świętego, jednak dla swej istotnej wartości nie może utonąć w powodzi drobnych wydawnictw. Rozmiary jej są niewielkie, ale dla badacza stosunków polsko-węgierskich, w najdawniejszym zwłaszcza okresie, wagę swą zachowa jeszcze bardzo długo. Jeśli chodzi o styl i język, to autor, acz cudzoziemiec, wywiązał się z zadania jaknajpoprawniej.

Na zakończenie słówko o stronie zewnętrznej broszury. Drukowała ją Salezjańska Szkoła Graficzna. Tekst sam specjalnych zastrzeżeń nie budzi. Wykonanie jest czyste, staranne. Gorzej nieco z okładką. Skomponowana jest ona w dwuch kolorach nieco pod wpływem nowoczesnego stylu niemieckiego z zarzuceniem układu osiowego, ale ma tę wadę, że obramowanie z dwuch grubych czerwonych linij (z prawej strony i od góry) przytłacza zbytnio symetrycznie rozłożony tytuł. By zachować równowagę, należało już do reszty zerwać z symetrją, bo w stanie obecnym wyszło ni to ni owo. Lepiejby było, gdyby obyło się bez eksperymentów graficznych. *J. M. Ch.*

Adorjan Divéky: O katolicyzmie na Węgrzech. Kraków, 1930. Nakładem autora. Str. 16.

Druga praca autora „Św. Emeryka" ma charakter wybitnie informacyjny. Przedstawiony jest w niej stan katolicyzmu w monarchji węgierskiej. Dowiedzieć się można stamtąd rzeczy niezwykle pocieszających, biorąc rzecz z punktu widzenia katolika, jako członka Kościoła powszechnego, jeśli się natomiast stanie na gruncie narodowym, mimowoli uczuwa się wstyd, że my, Polacy, pozostajemy jednak pod wielu względami w tyle poza Węgrami. Tak np. rozwój prasy katolickiej na Węgrzech jest istotnie zdumiewający i można się wiele od Węgrów nauczyć, jak przystępować należy do organizowania jej. Przepiękne kartki tej nawskroś dziennikarskiej broszury poświęcone zostały ks. biskupowi Ottokarowi Prohâszce. Postać to ogromnie ciekawa i warta tego, by zapoznać się z nią bliżej. Szkoda, że nie ukazał się dotąd obszerniejszy życiorys tego „apostoła odrodzenia katolickiego na Węgrzech". Przyczyną tego być może jest nasze zbytnie „oddalenie" od Węgier z powodu rozbieżności językowych. Ci, co znają język węgierski, postacią tą nie interesują się; ci, co nie znają go, nie mają skąd czerpać obszerniejszych wiadomości o niej i przez to ks. biskup Prohaszka tak mało jest znany, a szkoda. *J, M. Ch.*

Wanda Grochowska. Święta noc. Jasełka w dwuch odsłonach. Warszawa, 1930. Nakładem Księgarni „Przegląd Katolicki". Str. 24.

W trzydziestoletnim dorobku pisarskim p. Wandy Grochowskiej niepierwsze to jasełka. Temat jasełkowy opracowała zasłużona na polu piśmiennictwa ludowego autorka już poraz trzeci. Pierwsze jasełka jej pióra — to „U żłobka Zbawiciela" i „Sen Adasia". pisane jednak były one dla młodzieży z tradycyjnemi rekwizytami staropolskiemi, tu natomiast wierszem przedstawia autorka wypadki, starając się nie wykraczać poza ramy świadectwa ewangelicznego. Wszelkie djabliki, postacie groteskowe poszły sobie na zasłużony spoczynek do lamusa, w miejsce zaś tego Grochowska stara się pod-

kreślić wagę cudu Narodzenia Pańskiego. Nowością, a raczej godnem podkreślenia wznowieniem, jest wprowadzenie niesłusznie dotąd pomijanej, choć wspomina o tem Ewangelja, prorokini Anny. W sumie wyszedł utwór sceniczny o dominującym nastroju religijnym, poważny w skupieniu. Żeńskie stowarzyszenia młodzieży powinny wystawiać go na swoich scenach, gdyż walory jego dla zespołów amatorskich są pierwszorzędne. Zespół aktorów nienazbyt liczny, dekoracje również trudności nie przedstawiają (dwie zmiany), a całość wypadnie pociągająca bez względu na efekty zewnętrzne.

J. M. Ch.

J. M. **Czem opalać piece domowe?** Kraków, 1930. Nakładem autora. Str. 32.

Autor tej rozprawy popularnej, zasłużony kapłan katolicki, rzuca na kartach swej broszury hasło, które w naszem życiu ekonomicznem odegrać będzie mogło rolę niezwykle doniosłą: „Drzewo niech buduje i mebluje, a węgiel niech ogrzewa i gotuje!“ Wykazując na podstawie literatury i statystyk fachowych, że jesteśmy w przededniu „głodu drzewa“, radzi używać, jako opału, węgla, bo przez to zwiększy się jednocześnie wewnętrzny rynek węglowy, a zatem nastąpi w górnictwie ożywienie, na które obecnie daremnie czeka się z powodu złej konjunktury zagranicznej. Myśl to naprawdę niezwykle ważna i zasługująca na bliższe zapoznanie się z nią, tembardziej, że autor na przykładach wykazuje, iż nierozumna dewastacja lasów odbić się może groźnie w przyszłości na klimacie.

Autor posiada cenny a rzadki niestety dar popularyzacji, to też praca jego jest przystępna i zrozumiała dla każdego. Jedyną może jej wadą jest to mianowicie, że pisana jest „jednym tchem“, t. zn. bez podziału na rozdziały, choć te przy lekturze dają się wyróżnić zupełnie wyraźnie.

Broszurę drukowała Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie, zatrudniająca wychowanków braci Michaelitów. Wykonanie pozostawia nieco do życzenia w wykończeniu szczegółów (niepotrzebna ozdoba na str. 3 u góry, złe rozmieszczenie słów na stronie tytułowej i na okładce). Zwracamy uwagę na wykonanie graficzne dlatego, bo inteligencja, indyferentystycznie nastrojona, niechętnie bierze książkę katolicką gdy ta jest w niestarannej szacie graficznej. „Eksterjer“ też odgrywa swą rolę i większą, niżbyśmy niekiedy przypuszczali.

J. M. Ch.

Obraz bł. Bronisławy. Nakładem konwentu p. p. Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie. Reprodukcja wykonana jest na ładnym kartonie w wymiarach 45 × 26, przyozdobiona złoceniami. Obraz ten znaleźć się powinien we wszystkich polskich domach katolickich. Cena jego bez przesyłki wynosi 1 zł. Całkowity dochód z rozsprzedaży przeznaczony ma być na fundusz kanonizacyjny bł. Bronisławy.

J. M. Ch.

Piotr Jerzy Frassati. Życiorys Piotra Jerzego Frassati'ego to książka niezwykła.

We włoskim oryginale, w ciągu trzech lat, rozchwytano ją w pięciu wydaniach.

A przecież dzieło to nie przesyca umysłu czytelnika tą narkozą, jakiej schorzała w wyrafinowaniu wyobraźnia ludzi współczesnych wszędzie poszukuje. Nie niesie ono ani sensacji podniecającej otępiałą ciekawość, ani realistycznych opisów brutalnych przejawów życia. Dalekie jest od wszystkiego, za czem dziś goni — umęczona nadmiarem niskich wrażeń zmysłowych, jednak ciągle w kole tych wrażeń wirująca—gorączkowa myśl ludzka.

Możnaby, rzec, iż życiorys Frassati'ego właśnie przykuwa czytelnika siłą kontrastu. Tyle jest w tem niezwykłem życiu młodzieńczem jasności, prostoty i przeczystego piękna, że na tle roztaczającej się dookoła nas szarej powłoki materjalizmu występuje ono, jak barwisty łuk tęczy na ponurych, pełnych grozy skłębieniach chmur.

Dzieło jako biografja, ma wielką wartość, gdyż jego autor, Don Cojazzi, będąc nauczycielem i wychowawcą Frassati'ego, miał sposobność poznać całą głębię jego duszy. Przytem Cz. Autor w pracy swej posługuje się skrzętnie zebranemi świadectwami osób najbardziej zbliżonych w życiu do świątobliwego młodzieńca, — jak np.: jego koledzy z uczelni i ze stowarzyszeń, do których należał, służba, i t. p.

Mamy nadzieję, że przepiękny typ współczesnego a prawdziwie chrześcijańskiego młodzieńca,—podobnie jak słodka postać Świętej z Lisieux,— porwie polskie serca, i szczególniej duszom młodzieńczym, w jasnym przykładzie bujnego, pełnego radości życia, ukaże prawdę słów Chrystusowych: „Jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemię moje lekkie".

Książka zawiera 312 str. druku (duża 16 ka.) i 21 ilustracyj. Cena tylko 4 zł., z przesyłką 4,60 zł. Do nabycia: Inspektorat Salezjański Warszawa, Lipowa 14.

„Pan Jezus i dziecko" i „Boży chłopczyna". - Z. Poreykówna. Nakładem Kat. Tow. Wydawniczego „Kronika Rodzinna" ukazały się dwie książeczki dla dzieci „Pan Jezus i dziecko" Zofji Poreykówny oraz „Boży Chłopczyna" Wandy Kieszkowskiej.

„Pan Jezus i dziecko" to jest w bardzo ujmującej formie podane najbliższe przygotowanie do pierwszej Komunji św. W czytaniach rozłożonych na dziewięć dni, poprzedzających przystąpienie do pierwszej Komunji, autorka, obdarzona niezwykłym darem przemawiania do dzieci o sprawach dotyczących wiary i religji, w sposób jasny, przystępny i niezmiernie pociągający przedstawia młodocianym czytelnikom ważność pierwszej Komunji i poucza, jak się do tego doniosłego momentu w życiu należycie przygotować. Książeczka ta przeznaczona jest do dania bezpośrednio dzieciom do rąk — ale z zapoznania się z tą pracą wielkie korzyści odniosą matki i wychowawczynie dzieci, zwłaszcza gdy się same zajmują przygotowaniem ich do pierwszej Komunji lub tylko współdziałają w tem przygotowaniu. Książka wydana estetycznie i ozdobiona licznemi reprodukcjami obrazów Fra Angelico.

„Boży Chłopczyna" to opis życia Wicia de Fontgaland, dwunastoletniego chłopca, który zmarł we Francji w r. 1925-ym w opinji świętości. Życiorys napisany potoczyście, dokładnie zapoznaje czytelnika z sympatyczną postacią świętobliwego chłopca.

Również nakładem „Kroniki Rodzinnej" ukazały się dwie następujące książki: 1) Kazimierz Małomorski — „Szlakiem dawnych dziejów" i 2) ks. Piotr Trocki — „Cudowne Zjawiska".

„Szlakiem dawnych dziejów" to opis wielkiej podróży dookoła Morza Śródziemnego. Autor zwiedziwszy kolejno Węgry, Rumunję, Turcję, Palestynę, Syrję, Egipt, Grecję, Tunis, Algier, Włochy, Hiszpanję, Portugalję i Francję — opowiada w swej książce treściwie o tem, co widział przyczem przy każdej sposobności myślą zwraca się ku Polsce, porównywując rzeczy i stosunki oglądane ze stosunkami w Kraju, by następnie wysnuć odpowiednie wnioski z chęcią oddania przysługi Ojczyźnie. Książka została wydana nader starannie i ozdobiona dobrze odbitemi kilkudziesięciu widokami miejscowości, omawianych w tekście.

Całkiem do innej dziedziny przenosi nas książka „Cudowne Zjawiska". Zawiera ta ciekawa książeczka opis współczesnych wydarzeń nadprzyrodzonych, jakich widownią w ostatnich latach kilkudziesięciu były lub są po dziś dzień takie kraje, jak Włochy (Andrią, Neapol), Francja (Lourdes, Lisieux, la Salette, Pontmain), Hiszpanja (Limpias, Madryt), Belgja (Herenthals), Niemcy (Konnersreuth), Polska (Wanda Malczewska).

Autor większość opisywanych faktów stwierdził na miejscu osobiście lub w przedstawieniu ich w książce oparł się na dziełach źródłowych, mających aprobatę Kościoła, co dodaje wagi jego zajmujacej i pożytecznej książce, która wzbudzi niewątpliwie szerokie zainteresowanie.

Klementowski Leopold Ks.: Bóg jest miłością. Cykl egzort do młodzieży starszej, 8-ka str. 368. Nakł. Tow. Bibljoteka Religijna. Lwów. 1930.

Życie religijne bez najlepszego zrozumienia stosunku człowieka do Boga jest niemożliwe. Rozwój życia religijnego jest zależny od głęboko wpojonego pragnienia, by się do Boga zbliżać, by Bóg był naszym celem we wszystkich poczynaniach. Im częściej o tem pamiętamy, tem lepiej organizujemy swe życie, mając więcej energji w pokonywaniu trudności i więcej pędu do podejmowania wielkich zadań. O Bogu niestety rzadko słyszy się kazania i egzorty, bo to rzecz trudna. Należy się wdzięczność Ks. Klementowskiemu, że ten temat opracował w cyklu egzort na cały rok szkolny. Można autorowi pogratulować sukcesu, bo dał bardzo pozytywną, wyczerpującą treść dogmatyczną, w formie wspaniałej i co do języka i podejścia do tematu i konkretności w ujęciu. Treść dogmatyczną, wzniosłą złączył z życiem i obowiązkami człowieka wobec Boga, nie wpadając w oschłe moralizowanie. Do ważnych zalet książki należy dostosowanie egzort do roku kościelnego bez naciągania. Co chwila też olśniewają czytelnika wspaniałe cytaty z Pisma św. zazwyczaj niespotykane.

Nietylko uczeń starszy wysłucha tych egzort z pożytkiem, ale przeczyta je z korzyścią każdy inteligentny katolik.

Bielawski Zygmunt Ks. Dr.: Rok kościelny w życiu chrześcijanina w 8-ce, str. 62, nakł. Tow. Bibljoteka Religijna we Lwowie. 1930.

Autor daje w swym „Roku kościelnym" przystępne objaśnienia świąt całego roku. Dodaje przy tem pobożne nauki—rozważania, wskazówki życiowe i sposoby, jakiemi uczynkami i modlitwami można uczcić poszczególne uroczystości. Bardzo pożyteczne dla dzieci pobożnych. I mniej chętne może się przez przeczytanie „Roku kościelnego" zachęcić do lepszego obchodzenia świąt. Nie bez pożytku przeczytaliby i starsi te łatwo podane objaśnienia świąt, których nie znają, albo już zapomnieli.

Ks. Wincenty Miś: **Heretycy-Sekciarze — kim oni są i do czego dążą.Stanisławów 1930.**

Słusznie postąpił Szanowny Autor, że pracę swoją nadesłał do „Pro Christo", bo któż, jeśli nie młodzi katolicy, dla których w pierwszym rzędzie istnieje—„Pro Christo—Wiara i Czyn", mają się zapoznawać szczególniej w dzisiejszych czasach i przedewszystkiem na ojczystym terenie, ze współczesnemi herezjami, których u nas już jest, jak to oświadczył Minister W. R. i O. P. aż 40 — w postaci najrozmaitszych sekt.

Katolicy a w szczególności młodzi wiarę nietylko winni znać, lecz też w razie potrzeby jej bronić. Nie jest to łatwe zagadnienie; wszelka obrona i praca pozytywna jest trudniejszą od ataków bezkrytycznych i akcji, z jaką zazwyczaj występują heretycy i sekciarze, nie przebierajacy w środkach.

Wolterową zasadą „Kłamcie, kłamcie, zawsze coś z tego wyniknie!" posługują się zazwyczaj duchy pokrewne.

Popularne dziełko Ks. Wincentego Misia daje sporą wiązankę wiadomości i argumentów do wykorzystania ich w zapasach polemicznych. Posługując się niemi czytelnicy nie będą potrzebowali wertować Historji Kościoła, gdyż tutaj znajdą niezbędne wiadomości bez nagromadzenia nazwisk i dat.

We wnioskach śmiało mógł Szanowny Autor uwypuklić ten jeszcze, że heretykami i sekciarzami często posługują się, jako ślepemi narzędziami, rządy wrogie Ojczyźnie, do swych znanych celów.

Życzyć należy, by w każdej czytelni ideowej i bibljoteczkach organizacyj religijnych, udzielono widocznego miejsca omawianemu dziełku Ks. Wincentego Misia. *Ks. Bołtuć. M. I. C.*

Szanownych naszych Czytelników, którzy zapomnieli wpłacić prenumeratę za ostatnie miesiące, prosimy o uregulowanie należności. Tym, którzy będą zalegali dłużej niż 4 miesiące, będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę numeru.

WARUNKI PRENUMERATY „*PRO CHRISTO*":

Kwartalnie	3.—	Rocznie	12—
Półrocznie	6.—	Cena pojed. numeru .	1.—

Zmiana adresu 50 gr.

WARUNKI PRENUMERATY ZAGRANICĄ.

Kwartalnie	4.50	Rocznie	18.—
Półrocznie	9.—	Cena pojed. numeru .	1.70

CENY OGŁOSZEŃ W „PRO CHRISTO".

Stronica okładki	70 zł.
1/2 stronicy	35 zł.
1/4 stronicy	20 zł.
Stronica poza tekstem.	60 zł.
1/2 stronicy	30 zł.
1/4 stronicy	15 zł.

Czytelnicy! Popierajcie prasę katolicką. Propagujcie „Pro Christo" wśród znajomych i we wszystkich kołach Wam dostępnych. Przez prasę katolicką — do Polski katolickiej!